

Przewodnik Katolicki



W DZIEŃ ZIELONYCH ŚWIĄTEK

Malował Wacław Boratyński, 1936.

HYMN DO ŚWIĘTEGO DUCHA

Józef Ruffer

*Modlitwą jasną,
Modlitwą żarliwą,
Słowem drgającym
Śpiewajmy:*

Dla Dusz Zwycięstwa
O Dar prosimy Męstwa,
Bo oto męstwo nasze manowcami chodzi:
Człowiek w człowieka i brat w brata
godzi.

O Duchu Święty, Darem Pobożności
Niech się nam każda ścieżka spaczona
wyprości,

A Dar Bojaźni Bożej
Złości, nieszczęściom, krzywdom kres
położy.

HYMN DO ŚWIĘTEGO DUCHA

Duchu Święty, Boża Gołębico —
Ze słonecznego Nieba
Racz zstąpić na nas błogą błyskawicą
I Duszom naszym użyć krzepiącego
[Chleba.

Darem Umiejętności racz wzmocnić
rękę naszą:
Niechaj szczęśliwie prowadzi nam pług,
Niechaj opuszcza umiejętnie młot,
Niechaj steruje przez morza-bezdroża,
Gdzie burze jej nie przestraszą,
Bo Gwiazda wszak wznijdzie Boża —
Niech od powietrza należny weźmie
dług:
Ptaków spojny lot.

Duchu Święty, Boża Gołębico,
Ze słonecznego Nieba
Racz nas oświecić słodką błyskawicą
I Duszom naszym racz użyć Chleba.

Na świat i ziemię naszą, pełną Złości,
Racz zesłać Dar Mądrości.
Niechaj w swych sercach wiemy,
Jakie są Prawda i Żywot i Droga
Do Boga.

Duchu Święty, Gołębico Boża —
Skupione:
z Bożego Przeworza,
Z Powietrza, z Ziemi i z Ognia i z Wody
W łagodny gołębicy lot
Niech spłyną na nas Dary Twoich łask
Miłością, jako oczu ma-
cierzyńskich blask,
Nie zaś jak z burzy grzmot
Na nas i ziemskie narody.

Darem Rozumu nas
oświeć łaskawie,
Byśmy umieli stawać
w każdej sprawie:
W sądzie, w urzędzie,
w szkole, w sklepie, w war-
sztacie, na roli —
Dóbr swej Ojczyzny roztropni
Rozum daj w darze [włodarze,
Na rozproszenie swawoli.



*Modlitwą jasną,
Modlitwą żarliwą,
Słowem drgającym
Śpiewajmy
Aże do uproszenia Łask:*

O Dar błagamy Rady,
Naród śmiertelnie blady,
Jeśliż przed grozą staniem,

HYMN DO ŚWIĘTEGO DUCHA.

Ewangelja na dzień

zapisana u św. Jana w roz-

Won czas mówił Jezus uczniom swoim: Jeśli kto Mnie miłuje, będzie przestrzegał nauki mojej; a Ojciec mój umiłuje go, i do niego przyjdziemy i mieszkanie u niego założymy. Kto Mnie nie miłuje, nauk moich nie chowa. A nauka, którą słyszeliście, nie jest moja, ale Ojca, który Mnie posłał. O tem wam mówiłem, przebywając wśród was. A Poczyciel, Duch Święty, którego Ojciec posłał w Imię moje, On was wszystkiego nauczy, i przypomni wam wszystko, o czem wam mówiłem. Pokój zostawiam wam, pokój mój daję wam. Nie jako świat zwykły dawać, Ja wam daję. Niechaj serce wasze nie trwoży się, ani się lęka! Słyszeliście, że Ja wam powiedziałem: „Odchodzę i przychodzę do was“. Gdybyście Mnie miłowali, cieszylibyście się, że idę do Ojca, bo Ojciec jest większy ode Mnie. A i teraz powiedziałem wam to w pierw, zanim nastąpi, abyście uwierzyli, gdy się spełni. Już niewiele będę mógł z wami mówić, albowiem nadchodzi księżę tego świata, lecz nie ma on nic we Mnie, ale aby świat poznał, że Ja miłuję Ojca i że tak działam, jak Ojciec mi przykazał.

NAUKA

Niemniej wyraźnie i dobitnie jak o Ojcu — nauczał Pan Jezus o Duchu Świętym, Poczycielu i Nauczycielu Prawdy. Ilekroć, tak jak to słyszeliśmy w dzisiejszej Ewangelji świętej, powtarzał Apostołom

i uczniom: „lecz Poczyciel, Duch Święty, którego Ojciec posłał w Imię moje, On was wszystkiego nauczy i przypomni wam wszystko, com tylko wam powiedział...“

I pierwsi uczniowie i wyznawcy Chrystusowi żyli w ściślejszej łączności z Duchem Świętym, współpracując z Jego Łaską i Jego natchnieniem. Z tej współpracy urosł ten **przecudny poemat czynu i świętości**, jakim stało się życie pierwszych chrześcijan, owocujące w podziwu godnej miłości bliźniego.

...Człowiek dnia dzisiejszego nie sięga do tradycji pierwszych chrześcijan, żyje na **powierzchni życia**, a serdeczną nić, wiążącą duszę chrześcijańską z Duchem Świętym, źródłem świętości, rozluźnia i szarpie coraz bardziej **prąd pogaństwa**, wsączający się nawet... w nasze szeregi, w różnej postaci.

Święto Zielonych Świąt jest **wielkim wołaniem** na cały świat: **jest wśród nas Bóg, którego nie znamy, jest Duch Święty!!!**

Nie poto zstąpił na pierwociny Kościoła św. w dniu Zielonych Świątek, by wnet potem... zniknąć, ale miał na zawsze pozostać

stać wśród nas na długą pracę wieków — w duszach. Bo się musi spełnić zapewnienie Pana Jezusa: „Ja zaś poproszę Ojca i innego Poczyciela da wam, **aby z wami na wieki pozostał**, Ducha prawdy, którego świat otrzymać nie może, bo Go nie ogląda, ani Go nie zna. Wy zaś znacie Go, przebywa bowiem **przy was i w was będzie**“ (Jan 14, 16—17).

I każdy z nas staje się „**kościół Ducha Świętego**“ (I. Kor. 6, 19) i pozostaje Jego świątynią, dopóki nie rozwali jej przez grzech.

Ma jednak Duch św. **olbrzymią świątynię**, której nie rozwali ani złość ludzka, ani „bramy piekielne“ (największe moce zła) nie ukruszą z niej ani jednego kamienia. Tą olbrzymią świątynią jest **Kościół katolicki**, mistyczne Ciało Chrystusowe, które ożywia Duch Święty.

On — **Duch Prawdy** utrzymuje w Kościele katolickim nieomylną naukę, czuwając nad jego pasterzami.

On — **Duch Świętości** przez sakramenta święte rozprowadza — jakby ożywczą krew — nadprzyrodzone moce Łaski, dając duszom „życie Boże“, podnosząc je do godności „Dzieci Bożych“.

A cały Kościół święty staje się jednym **Wielkim Tabernakulum Ducha Świętego, Boga**, stokroć bardziej **ukrytego** (Izaj. 45, 15) niż pod osłonami eucharystycznymi...
O. Henryk.

Zielonych Świątek

dziale 14, wiersz 23—31.

TRUCIZNA MĄDROŚCI...

Na Dzień Zesłania Ducha Świętego

„...albowiem nie jest to mądrość z góry zstępująca, ale ziemską, cielesną, djabelską.“ — List powszechny św. Jakóba Apostoła. Rozdział III, 15.

Św. Jakób rozróżnia tu cztery rodzaje mądrości. Pierwsza to mądrość z góry, dar Ducha Świętego, która przenika tajemnicę Opatrzności. Nie można jej inaczej nabyć, jak przez świętobliwość. Tą mądrością opatrzeni byli apostołowie i uczniowie Pana Jezusa w dniu Zielonych Świątek.

Drugą mądrość nazywa św. Jakób cielesną. Zabiega ona o wszystko, co się odnosi do zwierzej strony człowieka. Bogiem tej mądrości jest brzuch. Wszystkie swe wysiłki obraca na dogodzenie chuciom swej natury.

Trzecią mądrość nazywa św. Jakób ziemską. Nie zniża ona człowieka tak do poziomu bydła jak mądrość cielesna, ale zawsze widzi w nim tylko najdoskonalsze zwierzę na ziemi, każe mu się ograniczyć do obrębu praw przyrodzonych. Cały rozum wysiła nato, jakby zdobywać, zatrzymywać i mnożyć dobra tego świata. Taką mądrością ziemską kierują się politycy dzisiejsi, którzy tylko doczesnego bytu i pokoju poddanych swoich pilnują, zbawienia dusz ich zaniechawszy,

Czwartą mądrość nazywa św. Jakób djabelską. Słowo djabeł pochodzi z języka greckiego i znaczy tyle co przewrotny. Mądrość djabelska obraca swój dowcip na zdrady i szkody ludzkie; przez grzechy, oszukaństwa, kłamstwa i oszczerstwa dorabia się sławy świeckiej i dobrego mienia. Ta mądrość przewodniczy piekielnikom i narodom piekła zaprzędanym.

Widzimy dokoła nas owoce tej mądrości szatańskiej, skoro ona któremu z narodów chrześcijańskich do głowy uderzy. Krwawe żniwo tej mądrości zbiera haniebnie spodłona Rosja, obląkana Hiszpanja, oszalały Meksyk, a pomruki i zapowiedzi tej epidemii w innych państwach są coraz częstsze, coraz groźniejsze.

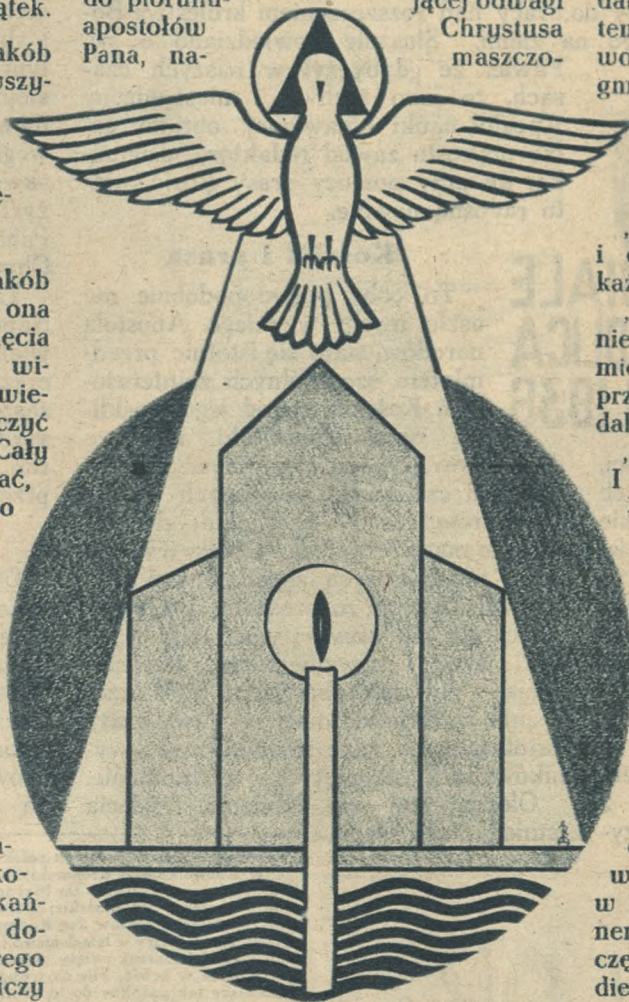
Stąd też wzmagają się przekonanie, że taki stan rzeczy długo trwać nie może. Jeżeli ludzkość nie ma do reszty zniknąć i zdziczeć, to musi przyjść coś, co ją do głębi wstrząśnie, obudzi i odrodzi. Muszą się na ślepą narody ponownie wylać dary Ducha Św., którego nazwano „Bogiem Zapomnianym“.

Nawet my chrześcijanie i katolicy staliśmy się podobni do mieszkańców miasta Efezu, którzy zapytani przez św. Pawła; „zaliście wzięli Ducha Świętego, gdyście uwierzyli?“ — rzekli do niego: „Ale aniśmy słyszeli, jeśli

jest Duch Święty“ (Dzieje Apostołów. Rozdz. XIX, 2).

Bierzmowanie, powiada jeden z polskich biskupów, będzie najprzedniejszym sakramentem Akcji Katolickiej.

Z dzieci Kościoła musimy się zamienić w żołnierzy Chrystusowych. Z potulnych, niemrawych i niedołężnych świętoszków trzeba nam się porwać do piorunu-jącej odwagi apostołów Chrystusa Pana, na-
maszczo-



nych mową z wysokości. Dużo jest w naszych szeregach agitatorów, piniaczy i adwokatów Kościoła, ale ze świecą trzeba szukać gorliwego misjonarza i ognistego apostoła, któryby wyziębione serca nasze rozgrzać i z odrętwienia wyrwać potrafił.

Błagajmy tedy na kolanach, aby się w nas spełnił cud Zielonych Świątek. Pomyślmy co za przemiana w takim św. Piotrze w owej pamiętnej chwili! On, rybak ubogi, prostaczek, który czytać ani pisać nie umiał, tak tchórzliwy, że wyparł się trzykrotnie swego Mistrza, gdy dopiero co zapewniał uroczyście, że gotów za niego życie poświęcić. Teraz przeobraża się nie do poznania, gdy duszę jego objęły ognie Ducha Św.

Przemawia do Żydów śmiało, ani mu na myśl nie przychodzi, że go to może życie kosztować. I co za skutki tego pierwszego kazania! Dzieje Apostolskie mówią, że wszyscy słu-

chacze uczyli się „skruszeni na sercu“ (Rozdział II, 37) i trzy tysiące stało się chrześcijanami.

Pod wpływem tych ognistych kazań formowała się pierwsza gmina wyznawców Chrystusowych w Jerozolimie. Powstał najwyższy typ życia społecznego na ziemi jako zarodek Królestwa Bożego. Do czego prowadzący i filozofowie starożytni nadaremno wzdychali, zadumani nad tem, jak ukrocić samolubstwo i chciwość natury ludzkiej, to pierwsza gmina chrześcijańska urzeczywistniła.

W Dziejach Apostolskich czytamy:

„Wszyscy też, którzy wierzyli byli pospolu i wszystko mieli wspólne“.

„Osiadłości i majątności przedawali i obdzielali niemi wszystkim, jako każdemu było potrzeba“...

„Bo żadnego między nimi nie było niedostatecznego. Gdyż* którykolwiek mieli role albo domy, sprzedawszy, przynosili zapłatę za ono, co sprzedali“.

„I kładli przed nogi apostołskie. I rozdawano każdemu, ile komu było potrzeba“ (Rozdział II, 44-45, V, 34-35.)

W całym chrześcijaństwie obudziła się dziś żywa tęsknota za odrodzeniem pierwszej gminy wyznawców Chrystusowych.

„Bolszewizm nie może być dzwonem na pogrzeb, lecz tylko na zmartwychwstanie chrześcijaństwa!“

Parafia musi się stać napowrót rodziną chrześcijańską. Tę tęsknotę wyraża Jego Eminencja Ksiądz Prymas w liście pasterskim o życiu parafjalnem. Tę tęsknotę wyraził biskup częstochowski Kubina, pragnąc swą diecezję wzorować na pierwszej diecezji chrześcijańskiej, którą przez lat 30 zarządzał św. Jakób Apostoł. Ta tęsknota objawia się w ruchu liturgicznym, który usiłuje mszy św. przywrócić wyższe znaczenie społeczne w życiu odrodzonej parafii.

Cudotwórcze ognie Ducha Świętego mają na nowo pokazać swą moc wskrzesitelną w duszach wiernych, a wystygłe serca nasze, zapalone płomieniem, muszą wytrawić w sobie truciznę mądrości cielesnej, ziemskiej i djabelskiej. Zapanuje na ziemi mądrość niebiańska, nastaną upragnione rządy Ducha Świętego.

„Królestwo Boże jest sprawiedliwość, pokój i wesele w Duchu Świętym“.

Ludwik Posadzy.

„Miłość jest łaskawa, cierpliwa, nie wyrządza złości, nie zazdrości, nie jest ambitna, nie szuka swego, nie nadyma się pychą. Wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko zniesie.“

Św. Paweł (List do Kor. XIII, 4.)

ARMA
VERITATIS

Wszechświatowa wystawa prasy katolickiej w Watykanie

Apostolka dobra, piękna i prawdy — Św. Paweł jako redaktor — 75-lecie dziennika najczęściej katolickiego „l'Osservatore Romano“ i imieniny papieża — Zjawili się wszyscy, prócz Stalina i Hitlera — Przedmurze chrześcijaństwa — Białe niteczki łączące „Przewodnik Katolicki“ z całym światem — Prasa katolicka dla katolika arma veritatis!

nić swą apostołkę dobra, prawdy i piękna. Wciąga Kościół i tę gałąź nowożytnych zdobywczy do pracy nad rozszerzeniem królestwa Boga na ziemi. Słusznie powiedziano o św. Pawle, że gdyby żył w naszych czasach, to jako żarliwy i niestrudzony Apostoł nauki objawionej, obrałby sobie poprostu zawód redaktora dziennika, by przy pomocy prasy głosić światu radosną nowinę.

Kościół i prasa

To, co by prawdopodobnie nie uszło uwagi wielkiego Apostoła narodów, stało się istotnie przedmiotem szczególnych zainteresowań Kościoła. Pod jego troskliwą opieką powstało mnóstwo dzienników, tygodników, miesięczników i innych czasopism, głoszących śmiało i otwarcie zasady katolickie; drukuje się całe masy broszurek, ulotek, wydawnictw poświęconych zagadnieniom religijnym. Ale że rozproszone po świecie całym nie ujawniały tej siły i potęgi, jaką w rzeczywistości przedstawiają — powzięto zbawienną myśl urządzenia wszechświatowej wystawy prasy katolickiej, by zdać sobie sprawę z wyników pracy osiągniętych w tej dziedzinie.

Okazją stał się jubileusz 75-lecia istnienia „l'Osserva-

tore Romano“, który jest urzędowym dziennikiem papieskim. Dlatego to miejscem tego przeglądu stał się Watykan. I słusznie. Boć nie było przecie na całym świecie miejsca godniejszego i dostojniejszego. Tutaj bowiem w obrębie niewielkiego, ale potężnego, bo duchowego, niepodległego państwa Watykańskiego, skupia się i ześrodkowuje całe życie katolickie. Tutaj mieszka zastępca Pana Jezusa, widzialna głowa Kościoła Chrystusowego.

Tak więc pod okiem nieomylnego Nauczyciela Prawdy, urządzone ten wielki przegląd — arma veritatis — oręża w służbie prawdy. Taki bowiem zaszczytny tytuł nosi wystawa — arma veritatis. Z wielkim nakładem sił i starań doprowadzono wreszcie wielkie to przedsięwzięcie do szczęśliwego końca.

Witamy

Otwarcie wystawy nastąpiło dnia 12 maja 1936. Dzień św. Achillesa, a więc święto niebieskiego Patrona naszego Papieża. Dlatego to ceremonii otwarcia wystawy dokonał Ojciec święty osobiście, wobec licznie zgromadzonych wysokich osobistości tak ze świata duchownego jak i świeckiego. Niepodobna wyliczyć wszystkich znakomitości

ESPOSIZIONE MONDIALE DELLA STAMPA CATTOLICA CITTA' DEL VATICANO 1936

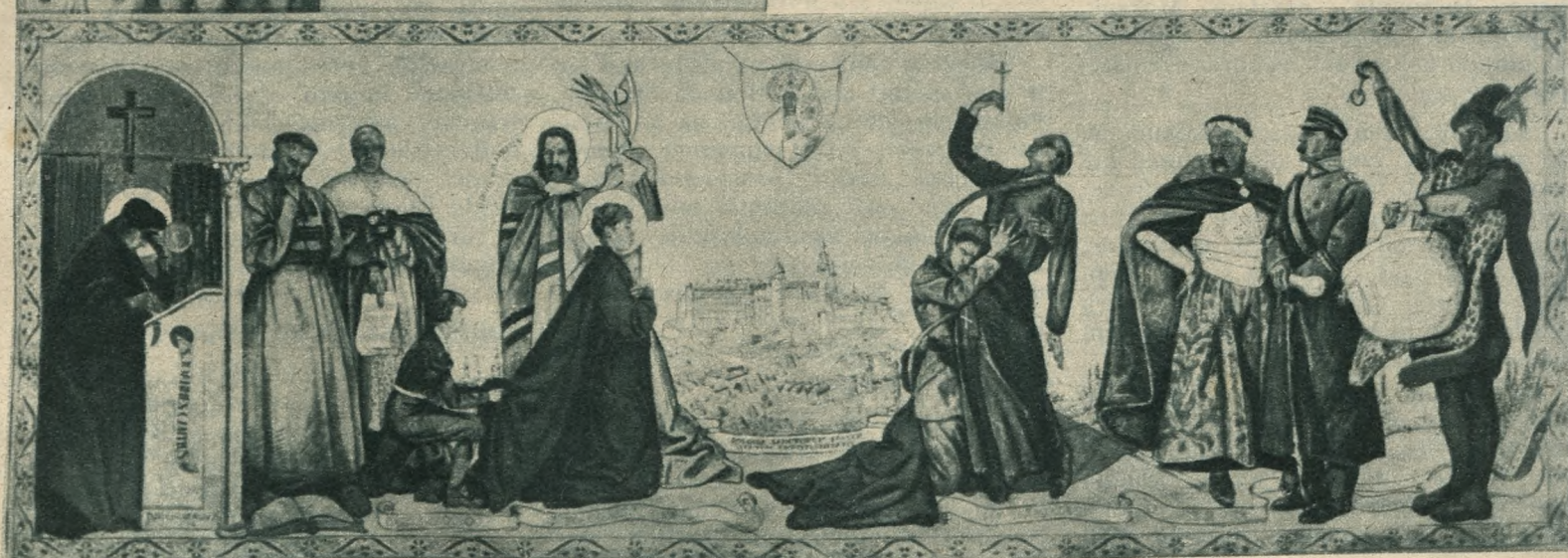
Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że prasa w życiu nowożytnych społeczeństw posiada doniosłe znaczenie i odgrywa doniosłą rolę. Wpływ jej jest tak głęboki i zasięg tak szeroki, że nie można sobie nawet wyobrazić, jakby w dzisiejszym okresie szalonego tempa i wyścigu ułożyły się stosunki, gdyby zabrakło tej ustawicznej wymiany myśli, jaką umożliwia nowoczesna prasa. To też i Kościół nie lekceważy tej wielkiej potęgi prasy, ale owszem pragnie z niej uczy-



Jedną ze ścian pawilonu polskiego zdobi piękny obraz Rosena. Oto jego treść: W środku Zamek Królewski na Wawelu. Ponad nim na ryngrafie Matka Boża — Królowa Korony Polskiej. Do Niej to zacierają dwa pochodny, jakżeż odmienne. Z lewej: święty profesor jagiellońskiej Wszechnicy Jan Kanty, dalej głęboki pieśniarz religijny złotych naszych czasów Jan Kochanowski, potem Kardynał Ledóchowski, który nieugięty bronił wiary w latach niewoli, wreszcie św. Józefat Kuncewicz, męczeński obrońca Unji i młodzieniaszek święty, patron młodzieży całego świata Stanisław Kostka. Z prawej: uderza w bęben, bije na trwogę pancerny towarzysz spod Wiednia. Wszak dzień dzisiejszy tak podobny do tej chwili, gdy sunęła na Europę złowroga, druzgocąca fala. Za nim kroczy pogromca Mahometa Jan Sobieski, obok niego zwycięzca zpod Warszawy J. Piłsudski. Wreszcie, tuż pod ryngrafem bohaterski kapelan X. Skorupka, który w 1920 r. poszedł na wroga uzbrojony jeno w krzyż. Słaniającego się kapelana podtrzymuje żołnierz polski, od wieków wierny obrońca krzyża.

Oto — jak głosi umieszczony w środku napis — Polska matka świętych — obronna tarcza chrześcijaństwa.

U góry: Afisz propagandowy Światowej wystawy prasy katolickiej w Rzymie. U dołu: wyobrażenie kuli ziemskiej. Nad nią rozwarła gazeta, piąta potęga świata. Wyżej wznosi się krzyż z napisem łacińskim: Arma Veritatis — broń prawdy. Albowiem broń prawdy jest gazeta i pismo wszelakie, którym patronuje krzyż. Podpis włoski zawarty jest już w nagłówku artykułu. (Fot. X. Dziasek.)



kardynalskich, biskupich, ambasadorskich, dyplomatycznych, patrycjatu rzymskiego, przedstawicieli świata całego.

Rzut oka na wystawę

Celem projektodawców tej wystawy było zobrazowanie wszechstronne dobrodziejstwa katolików na polu prasy. Nie pominięto również i technicznych urządzeń, których zestawienie w historycznym rozwoju, poczynawszy od ręcznych przepisujących benedyktyńskich poprzez drukowane już odbitki — do nowoczesnych zdobyczy — jest niesłychanie ciekawe i pouczające. Ale centrum wystawy stanowi wielka sala papieska, którą otoczyły wieńcem różne narodowości (z wyjątkiem Rosji i Niemiec) wszystkich części świata, tuląc się jakby do stóp wspólnego Ojca. Dalsza część wystawy obejmuje 2 działy: misyjny, w którym zobrażoną została prężna moc Kościoła, dążącego do rozszerzenia się w przestrzeni i zagarnięcia pod swoje władztwo całego globu ziemskiego; drugi poświęcony Zakonom i Akcji Katolickiej, gdzie w przedziwny sposób ujawnia się praca, mająca na celu pogłębienie zdobytego już życia nadprzyrodzonego. Oto główna treść wystawy.



Nad przygotowaniem pięknego pawilonu polskiego czuwali: ks. prał. T. Zakrzewski, p. inż. Padlewski i p. red. Lorek. (Fot. Ks. Piotr Bajkiewicz)

Na prawo: Uroczysta chwila otwarcia Światowej Wystawy Prasy Katolickiej w Rzymie. Pod wspaniałymi kolumnami na tronie zasiadł Ojciec św. Pius XI. U szczytu widnieje herb papieski, pierwsze trzy słowa napisu, którym ozdobiono szczyty kolumn oznaczają: „Nicomylnemu nauczycielowi Prawdy”. Tron papieża otacza gwardja papieska w swych starodawnych strojach. Po lewej stronie zajęli miejsce Kardynałowie i Biskupi z całego świata. Przedstawiciele wielu narodów ze skupieniem wysłuchują przemówienia naczelnego redaktora gazety papieskiej „Osservatore Romano”, która z okazji swego 75-lecia urządziła tę wystawę.

Przechadzka po krajach

Po prześlicznych marmurowych schodach wchodzimy na teren wystawy, obejmującej 6 tys. mtr. kw. powierzchni. Wszystkie urządzenia wykonane w stylu nowoczesnym, wzięcia uwagę widza swą niecodziennością. Każdy naród starał się jak najpomysłowiej cząstkę swą wykonać, by oryginalnością wzbudzić podziw i uznanie. Wszystko piękne, pomysłowe, niecodzienne, nowe.

Przebiegamy salę Holandji, podziwiając wielki obraz św. Franciszka Salezego, Patro-

na pisarzy, w otoczeniu licznych dziennikarzy, oraz mnóstwo barwnych czasopism, rozłożonych wzdłuż ścian. Wpadamy do Belgji, dwujęzycznej (francuski i flamandzki), która wykresami i zestawieniami liczbowymi ilustruje wzrost i znaczenie prasy swego katolickiego piśmiennictwa. Nawet mały Luxemburg, pod opieką św. Pawła, służy dobrej sprawie prasy katolickiej. Nieduża jest Portugalia, ale ma kilka dzienników katolickich, nie licząc innych wydawnictw pięknych i pożytecznych. Wkraczamy do pięknej i jasnej sali hiszpańskiej. Przykuwają uwagę piękne obrazy na ścianach. Prostotą swej formy mówią nam, że prasa jest narzędziem w rozszerzaniu słowa Bożego po świecie, że zadaniem jej jest obrona życia rodzimego oraz wychowanie młodzieży na chwałę Boga i pożytek ojczyźnie. Oto kilka pięknych

myśli, które świadczą, że w Hiszpanji, mimo chwilowej i błyskotliwej przewagi żywiołów komunizujących, wiara jeszcze mocno i głęboko tkwi w sercu tego katolickiego narodu. Dalej idą Włochy, które mogą poszczycić się spora liczbą dobrych i ściśle katolickich dzienników. Liczne czasopisma popularne i naukowe wysuwają je na czoło narodów katolickich. Szwajcaria przybrana sztandarami o barwach narodowych, bogata we wydawnictwa parafjalne, uniwersyteckie i Akcji Katolickiej, czyni miłe wrażenie. Idziemy do Francji. Tutaj jeszcze trwają prace nad wykończeniem stoisk i rozłożeniem przeobfitego żniwa czasopism, tak naukowych jak i popularnych. Wszystkie dziedziny myśli mają tu swoich reprezentantów: filozofja, teologja, ascetyka, życie parafjalne, przeglądy diecezjalne, miesięczniki, jednodniówki i t. d. Zasłużyła się naprawdę Kościołowi stara i ukochana córa — Francja. Podziwiamy Austrię, która jeszcze w 1935 r. miała 12 pism codziennych i około 200 innych czasopism katolickich. Rezultat to ogromny.

(Dokończenie na str. 370)



POWROT Z WYSPY WYKŁĘTYCH



Słoneczni ludzie w słonecznym kraju (Hawaii).

Niema nic bardziej cichego i mniej zwracającego uwagę, jak śmierć zakonika. Wszakże każdego dnia około 300 tysięcy ludzi schodzi z tego świata. Czemże wobec tej ogromnej liczby może być koniec człowieka, który wyrzekając się rodziny i świata już za życia dobrowolnie bierze rozbrat ze sprawami ziemskimi?

A jednak bywa nieraz wręcz przeciwnie. Kiedy bowiem 15 kwietnia roku 1889 umierał na samotnej wyspie Molokai, wśród Oceanu Spokojnego pewien misjonarz, wieść ta zelektryzowała cały świat kulturalny, a anioł, zapisujący z polecenia Bożego do osobnej księgi, wszystkie zgony, przerwał na chwilę swe codzienne szeregowanie, odchylił z namaszczeniem nową, świeżą kartę i na niej, tym razem ku szczególniejszemu uczczeniu, zamiast owych 300 tysięcy wypisał złotem jedno jedyne nazwisko

Ojciec Damjan de Veuster, Opiekun Zadżumionych

Nie święty, nie błogosławiony, a jednak jeden z tych największych, chluba ojczyzny i duma całej ludzkości!

Opuściwszy dla celów wyższych ojczyznę, żyje gdzieś pomiędzy Ameryką a Azją, wśród Oceanu, który niedawno w Przewodniku Katolickim nazwalismy Wspaniałym, w pobliżu owego miasta Manila, gdzie niezadługo odbędzie się Kongres Eucharystyczny. Żyje w krainie

pełnej słońca i szczęścia, w najpiękniejszym zakątku ziemi, na jednej z 8 wysp Hawai, głośnych dziś na całym świecie z cudownych czarów przyrody. Damjan jest młody, zdrowy, silny. Świat cały uśmiecha się do niego. Ma właśnie lat 33, gdy zwiedza z biskupem niedaleką wysepkę Molokai. Molokai znaczy tyle, co wykłety. Tu w okrutnym csamotnieniu, odgradzeni od świata,

krewnych i rodziny, zdani na samych siebie, przeklinając życie, bliźnich i cały świat, żyją właśnie owi „wykleci”. Straszny, oszpecający rak toczy ich ciało. Zawieszeni między dniem a nocą, między życiem a śmiercią, między żyjącym umieraniem a umierającym życiem, z ciężkim sercem dźwigają straszny los, jaki stał się ich udziałem. Wstrętnei także dla samych siebie, czują, że nawet śmierć brzydzi się nimi i jakoś długo nieraz do nich się nie zbliża. Oto życie nędzarzy na wyspie Molokai.

„Gdybym miał choć kapłana, któremu mógłbym powiedzieć: Poświęć się i zostań!”

Ojciec Damjan słyszy te słowa. Usłyszawszy je, zamyka bramy życia za sobą. Biskup już bez towarzysza opuszcza wyspę.

Było to w roku 1873.

Następują teraz owe 16 długich, przesławnych lat pobytu na Molokai. Lata te pozostaną na zawsze najchlubniejszą kartą w dziejach pielęgniarstwa i wielkiej, bohaterskiej miłości bliźniego.

Serce młodego Damjana tęskni za ojczyzną. Trawi je ta straszna samotność, to dobrowolne więzienie na tym kawałku ziemi, zewsząd otoczonym morzem. Tak, jak 20 lat później dla innego opiekuna zadżumionych, dla chluby naszego narodu X. Jana Beyzyma na Madagaskarze, tak teraz dla Damjana toczenie walki z tem „patriotycznym” pragnieniem stęsknionego serca będzie narazie najboleśniejszym zadaniem.

A oto jeden z „wykletych”, wśród których Damjan przebywał 16 lat.

„...Jestem jako to drzewo wyrwane z korzeniem, które obumiera powoli zanim się przyjmie na obcej ziemi, albo jako dziecko gwałtem z objęć matki wydarte, które jej wszędzie szuka, a znaleźć nie może.”

Taką tęsknotę zapewne każdy z nich przechodzi. Misjonarz jest też tylko człowiekiem. Ofiara jego dla Pana Boga i dusz zbawienia, zaprawiona taką boleścią, staje się dla nas tem pełniejsza i wymowniejsza.

Nie nato jednakże zamknął się na tem cmentarzysku żyjących trupów, by oddawać się szlachetnym acz pożytku nie przynoszącym tęsknotom. Zabiera się do pracy. Buduje na Molokai biednym zarażonym chaty, ciosa im trumny, obwijają ropiące rany i przykrywa ich nagość. Z tych to czasów pochodzą cyrkiel, węgielnica, topór znacznik, lampka, piła, hebel, kątownik i cały ów warsztat stolarski, który Belgja jako świętą relikwię narodową przechowuje wśród najdroższych pamiątek.

I choć nie może uwolnić „wykletych” od strasznej, nieuleczalnej dżumy, przynajmniej koi ich boleść i daje im to nieocenione pocieszenie, że znalazł się „choć jeden, który o nas myślał, który nas się nie zaparł i nie wyrzekł, który nam służył i nas tak ukochał, że dla nas stał się jednym z nas, tak dalece, aż i jego rak stoczył!”

„Factus sum infirmus, ut infirmos lucifacerem”. „Stałem się chorym dla chorych, abym chorych zyskał dla Jezusa Chrystusa.”

Słowa te znajdziesz w Piśmie Świętem. Brzmienie ich pochodzi od świę-



ro luf rewolwerowych, by zdobywać dla niewiast i dzieci ratunkowe łodzie.

Nikt nie będzie umniejszał ogromnego bohaterstwa, z jakim dzielny obrońca ojczyzny rzuca się w wir walki! Każdy pokornie uchyli czoła przed tym, który życie naraża, by drugiego ratować! Wszak sam Pan Jezus stwierdza, że niema większej miłości ponad tę, gdy ktoś życie daje za przyjaciół swoich.

Ale są pewne istotne jej stopniowania, są pewne zasadnicze różnice. Co innego narażać się w ogniu i bojowym szale. A co innego poświęcać się przez wszystkie dni i noce, kiedy bohaterstwo staje się stanem ciągłym, treścią i istotą żywota przez długich lat 16. Łatwo sobie wyobrazić, że w ludzkim pojęciu nie mogło być to życie szczęśliwe. Było to raczej wieczne wtaczanie kamienia pod górę. Była to walka bezustannie staczana z szatanem słabości, który w każdym z nas siedzi! A jednak umierając Damjan nie będzie się wahał i bez namysłu oświadczy, że gdyby mu za lata na Molokai ofiarowano raj na ziemi, wyrzekłby się tego raj!

„Panie! Ty wiesz, jak lepiej będzie, Daj co chcesz, wiele chcesz, kiedy chcesz! Czyń ze mną jak sądzisz, jak się Tobie bardziej podoba i jak wymaga większa chwała Twoja. Gdzie mi dobrze było bez Ciebie, albo gdzie z Tobą źle być mogło! Wolę być z Tobą ubogim, niż bez Ciebie bogatym! Obieram raczej z Tobą tułać się na ziemi, niż bez Ciebie niebo posiadać. Gdzie Ty jesteś, tam jest niebo; a tam śmierć i piekło, gdzie Ciebie niema!”

Kto na taką ofiarę się waży, ten najgorszego uniknąć nie może. Ten z całą pewnością liczyć musi, że prędzej czy później ulegnie prawom natury i stanie się żertwą strasznej choroby. Przecież tem samem oddycha powietrzem i takie same ma życie.

Damjan zaraża się trędem, cierpi długo. Umiera, sparaliżowany, niemal oślepy, po życiu wypełnionem prostotą i najpokorniejszem zaparciem się siebie.

Cóż to mogło być za środowisko, które wychowało takiego bohatera?

Ojciec był gospodarzem, handlującym zbożem. Mając lat 17, Damjan dopiero uczy się francuskiego, gdyż w domu mówią po walońsku. Jeszcze gorzej idzie z łaciną i teologią. Ale wola, ten najszlachetniejszy czynnik w człowieku jest zdrowa, potężna i czysta. W parafjalnem muzeum wioski rodzinnej Tremoloo przechowują ze czią wielką klęcznik, na którym dnia każdego widziano matkę Damjana, pokazują grubą, mocno postrzępioną książkę religijną, z której siedmiorgo dzieci uczyła biblii i katechizmu. Tylko w takiej atmosferze mogła wyrosnąć tężyzna, która stała się chlubą narodu i dumą ludzkości!

W r. 1863 brat jego, także zakonnik, ulega chorobie i nie może być wysłany na misje. Damjan zgłasza się na ochotnika, by brata zastąpić! Idzie więc na misje w zastępstwie, czyli zamiast innego. Nieraz jeszcze przyjdzie mu pracować w zastępstwie. Zamiast kogo innego... Zawsze robi to chętnie. Kto wie, czy tem chętnem zastępowaniem innych także nie wysłużył sobie dzisiejszej chwały. W każdym razie gorliwość ta zbliża go do misji u trędowatych.

Jakiś kapłan jest za słaby, by pełnić uciążliwe obowiązki na strasznym odcinku Kohala. Znowu zgłasza się Damjan, by go zastąpić! Jest więc duszą ofiarną, spieszący zawsze tam, gdzie największe niebezpieczeństwo. A takich Bóg popycha najchętniej ku wielkim celom.

„Nie umiera się wprost od niego!”

Wie dobrze, co go czeka. Jeszcze zanim drzwi za sobą ostatecznie zamknie, zanim będzie na Molokai, pisze do rodziny:

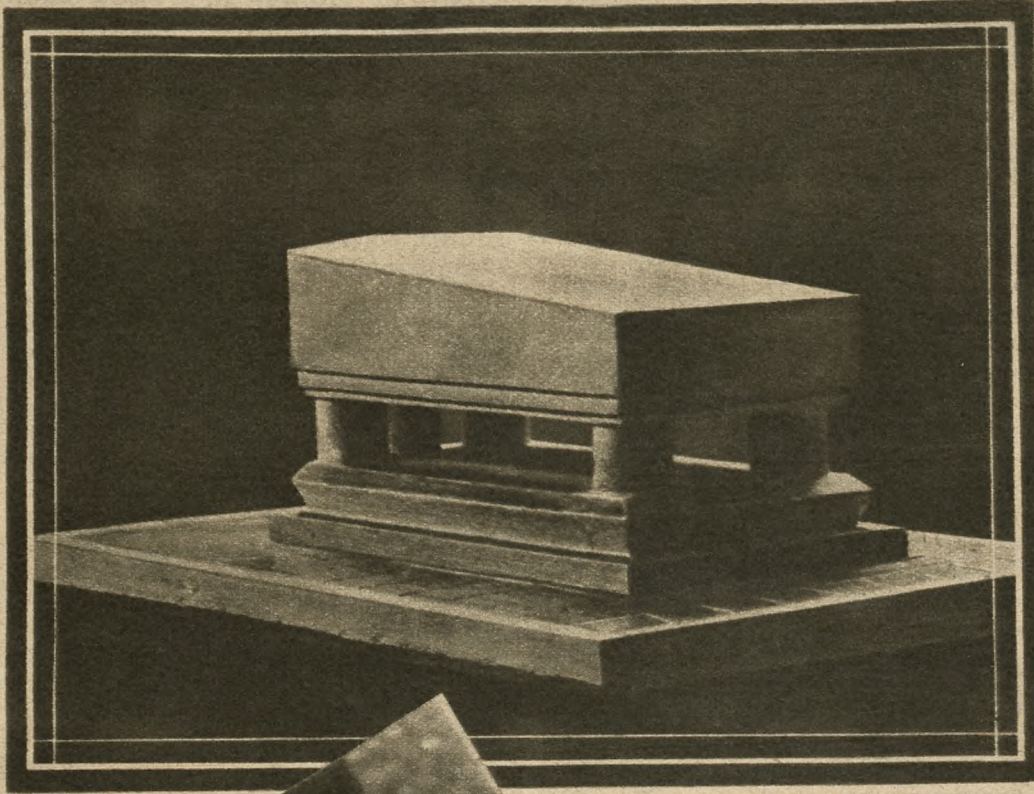


Ojczyzna dumna ze swego wielkiego syna wystawiła Damjanowi niejeden pomnik. Na rycinie pomnik w Tremoloo. W Lowanum, znajduje się najpiękniejszy długi słynnego rzeźbiarza Konstantyna Meunier. Kiedy doczeka się w Polsce podobnego pomnika nasz wielki rodak X. Jan Bezym spoczywający dotąd na Madagaskarze? Obok dwa obrazy: Ojciec Damjan Veuster na przestrzeni lat 16: jako 33letni mężczyzna i pod schylek swego męczeńskiego życia.

tego Pawła Apostoła (I Cor. IX). Ale przeniesienie w życie, zamienienie w czyn dał słowom tym najlepsze, bo na własnej skórze — ten, który na Molokai przez długie 16 lat każdego dnia ofiarę składał z własnego życia.

Ofiara z własnego życia! Jak łatwo wymówić to słowo!

Kiedy przed laty w Paryżu gorzał teatr, przedstawiciele najwykwintniejszej kultury deptali po skłębionych ciałach kobiet, byle dopaść wyjścia i ocalić życie. A kiedy tonął „Titanic” potrzeba było dopie-



Nowy grobowiec w Lowanjum i klęcznik, przy którym pobożna matka wymodliła synowi wielkość.



„Tu sze- nie u- od niego; możliwe

roba ta jest bardzo zaraźliwa. Okropne wyziewy można przetrzymać, paląc ciężką tabakę, straszne swędzenie w stopie zmniejszyć można tylko przez to, że chodzi się w bardzo ciężkich butach.“ Nie może się ludzić. W roku 1876 spostrzegła na sobie pierwsze podejrzane plamy, a od r. 1882 sam się uważa w listach za zarażonego. Szpital, który w tym czasie buduje za pieniądze z całego świata, buduje zatem także dla siebie samego. Oto w krótkich słowach życie tego człowieka, który był „większy, aniżeli inni ludzie“, i obok którego niejedyn silny człowiek tego świata, niejedyn geniusz i bohater wydaje się „małym, suchym patykiem“.

W maju tego roku zostały śmiertelne szczątki światowej sławy apostoła trędowatych pochowane na ojczystej

Pamiętki z Molokai, przechowywane w muzeum jako relikwie, oraz słynna wystrzępiona książka matki Veuster.

ziemi belgijskiej. Chowano mnicha, ale zgotowano mu pogrzeb królewski. Stany Zjednoczone Ameryki przysłały jeden z najslawniejszych krążowników „Republique“. Z honorami wojskowymi oddawanymi tylko osobom krwi królewskiej przewieziono ciało do San Francisco. Potem ciało przejmują statek belgijski „Mercator“.

Służbę marynarską pełni kwiat młodzieży belgijskiej. W czasie zbliżania się do ojczyzny wypływają wszystkie okręty, by powitać rodaka, wracającego wreszcie po długiej nieobecności do ziemi ojczystej. Król belgijski opuszcza daleką Szwajcarię i spieszy do Antwerpii, by oddać hołd wraz z całym dworem. Nie jedyna to zresztą głowa koronowana z tak wyjątkową czcią odnosząca się do apostoła trędowatych. Przecież zmarły niedawno Edward VII w przeświadczeniu, że Ojciec Damjan wejdzie do historii jako wielki człowiek, sam się przyczynił do wybudowania wspa-

niałego pomnika na Molokai. — Nie ma prowincji belgijskiej, któraby nie chciała usświetnić uroczystości. Koleje państwowe uruchamiają specjalne pociągi. Napływ ludu tak wielki, że pochód idący z Antwerpii do Lowanjum opóźnia się o kilka godzin. Nadchodzi wieczór, noc, ludzie czekają jedną godzinę, drugą, lecz nikt nie rusza się z miejsca. Gasną pochodnie, trzeba kupować nowe, lud nie myśli iść do domu. Nawet dzieci szkolne nie czują zmęczenia. Pogrzeb, ale nikt się nie smuci. Idzie trumna, a jednak jakaś duma radosna rozjaśnia lica! Dzwony biją! Okna jaśniejące od powodzi światła, kościoły rześcicie oświetlone i tłumy rozradowane sprawiają wrażenie, że to nie uroczystość pogrzebowa, lecz jakiś uroczysty pochód na pasterkę w szczególnie radosną noc gwiazdkową. Nawet nazajutrz na mszy św. żałobna nuta smutku i żalości jakoby nie była na miejscu. Zamiast Requiem chciałoby się słyszeć triumfalne Gloria, śpiewane nad mogiłą zwycięzcy!

Kiedyś ciało jego niosło do grobu sześciu trędowatych. Dziś trumnę z kosztownych drzew zbudowaną dotknąć palcami poczytuje sobie każdy za szczególniejszą łaskę nieba! To też godzinami w ogonku

wyczekują przed kościołem, aby dostać tego szczęścia!

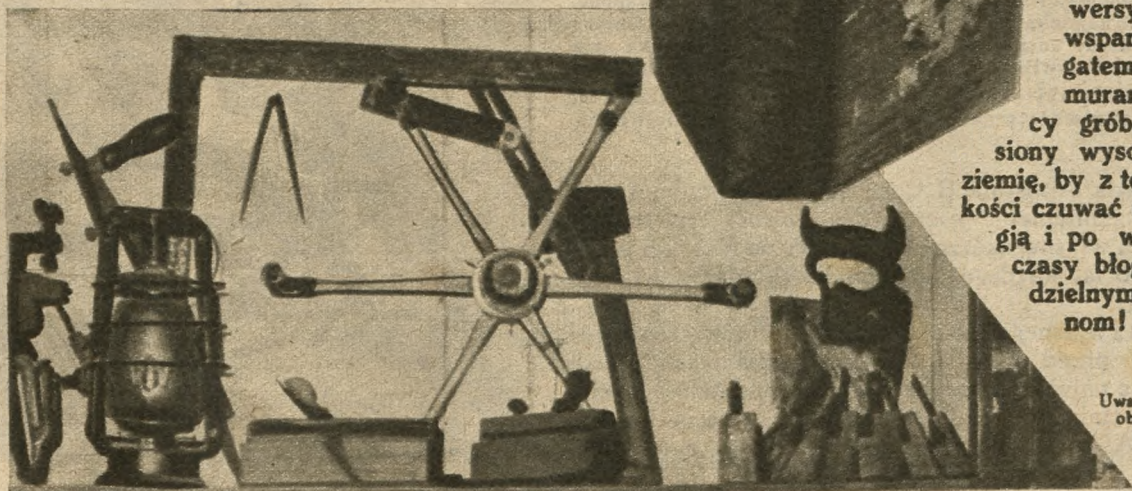
Ojciec Damjanie, jakże jeszcze wymowny jesteś w tej trumnie! Ty, któryś nie chciał niczego innego, jak tylko białą surową trumnę, taką samą, jaką tyle razy budowałeś dla swych trędowatych braci, teraz na ziemi ojczystej otrzymujesz w Lowanjum, w mieście kształ-



cają się młodzieży uniwersyteckiej, wspaniałymi, bogatymi marmurami lśniący grób, wyniesiony wysoko nad ziemię, by z tej wysokości czuwać nad Belgią i po wszystkie czasy błogosławić dzielnym jej synom!

H.

Uwaga: Reszta obrazków do tego artykułu na str. 357.



Z życia katolickiego

O dniu 1-ym maja otrzymujemy z Trzebini taką korespondencję.

Dzień ten był oczywiście robotników, którzy z pracy rąk utrzymują swoje rodziny. Ale związek socjalistyczny zamówił swoich mówców z Krakowa, dwóch żydów, którzy obiecując zgromadzonym złote góry, zapewniali ich, że w miodzie i mleku opływać będą, gdy Rząd opanują... Przybyli robotnicy z różnych okolic, do tego przyszedł pochodem robotnicy z fabryki lokomotyw „Fablok” z Chrzanowa i żydzi obojga płci pod sztandarem żydowskim, na którym były napisy żydowskie. Bóg wie, co te napisy hebrajskie oznaczały. Zdziwiło to wszystkich rozumnych Trzebinian, że robotnicy łączą się z żydami, gdyż z jednej strony wojuje się przeciwko kapitalistom i burżuazji, a z drugiej strony, czego zaprzeczyć nie mogą, łączą się z nimi. Bo któż jest tym kapitalistą i burżujem, jak nie żydzi, którzy 80 procent przedsiębiorstw przemysłowych posiadają i ogromne hurtownie wszelkiego rodzaju towarów w naszym kraju. Oni też kierują tą biedotą naszą, kiedy zechcą, i o którym czasie, powiększają albo też zmniejszają bezrobocie w naszym kraju. Gdy pochód z fabryki lokomotyw „Fablok” pod sztandarem żydowskim przechodził w stronę rynku, słyszeliśmy różne okrzyki pojedynczych żydów i żydówek, co powtarzać się nie godzi, gdyż są to zielone i tępe wybryki czysto żydowskie, występujące przeciwko naszemu dobru i Państwu i Rządowi. Po godzinie 12-tej przemawiali do tłumu żydzi, naruszając stale wiarę katolicką. Podczas mowy słychać było z tłumu kilka żądań, wychodzących z ust żydowskich, jak: palić kościoły, precz z księżmi, niech żyje rewolucja, łączmy się z naszymi braćmi komunistami i t. d. Ale dziwi nas to bardzo, że wcale nie domagano się, ażeby bóżnice palić, i by rozciągnąć ścisłą kontrolę nad przedsiębiorstwami żydowskimi. Wołano również: niema Boga, niema nieba, niech żyje rewolucja. Dlaczego stoją im wieże kościelne w przeszkodzie i księża, rozumiemy aż nadto dobrze — by żydostwo mogło łatwiej opanować katolicyzm, a prztem cały świat. Do tego nie dopuścimy, czujemy stale i nie pozwolimy wydrzeć wiary katolickiej z serc naszych. Żydowski mówca także wytknął ministrom, że zamiast zastanowić się „nad tem, by wam było lepiej, żebyście mogli w miodzie i mleku opływać, rozwodzą się nad ubożem rytualnym, kto może jeść mięso „koszerne”, a kto „niekoszerne”, dalej powiedział rządowi bardzo przykre, ubliżające słowa (umyślnie ich tu nie powtarzamy). Padła nawet uwaga: „broni wam nosisie nie pozwolą, ale macie przecież każdy przy sobie kozik”. Prawie wierzyć się nie chce, by w polskim mieście do katolików można wyglądać tak podburzające przemówienia.

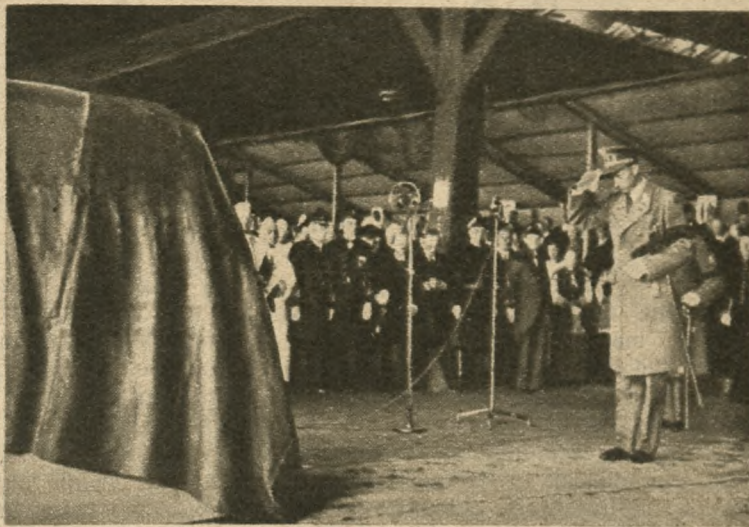
Dużo rzeczy w Trzebini domaga się naprawy. Mamy naprzykład Dom Robotniczy, ufundowany za ciężko zapracowany grosz biednego robotnika katolika. Kto jednak się tam gromadzi? Żydzi, wyrostkowie, omawiający różne rzeczy, kto wie komu potrzebne. Lepiejby się stało, żeby dom taki sprzedać uczciwemu katolikowi, mogącemu tam otworzyć spółdzielnię katolicką, a grosz ten rozdać pomiędzy robotników.

Ostatnie moje hasło jest: mądry katolik nie łączy się z żydostwem, a nabywa wszelkie towary w sklepach katolickich.

Z prawdziwego zdarzenia. Było to w lutym 1917-ego roku. Straszna wojna rozgrywała się na wszystkich frontach. Od rozpoczęcia wojny aż do stycznia 1917 roku pracowałem w Łodzi w jednej z dzielnic w Komitecie Obywatelskim Niesienia Pomocy Biednym.

W styczniu 1917 roku zgłosiłem się do pracy do jednej z większych fabryk metalowych. Prze-

(Dokończenie na stronie 370)



Król Belgów zbliża się do katafalku (patrz art.: Powrót z wyspy wykłętych)



Powrót bohatera na ziemię ojczystą (patrz art.: Powrót z wyspy wykłętych)



Każdy, chociaż ręką pragnie dotknąć trumny (patrz art.: Powrót z wyspy wykłętych)

Zawsze Twoje! Wycieczka

Gdzieżby w Zielone Świąta, jak nie na Bielany?

Rodzina majstra Jagodzińskiego od miesiąca marzy już o wycieczce, a matka co tygodnia odkłada już dwa złote do pudełka po pigułkach, na pokrycie wydatków. Bo jak jechać, to już całą gromadą, z czeladnikami, z dziećmi, z kawalerami, jak to jest we zwyczaju. Majster zapłaci furę, chłopaki udekorują gałęziami, że się pojedzie jak w ruchomej altanie, ale majstrowa musi przyrządzić jedzenie, żeby było obficie i smacznie. Pani Jagodzińska czeka na tę wycieczkę równie tęsknie, jak cała jej młodzież, bo to raz człowiek duszę oderwie od kuchni, na drzewka popatrzy, ptaszków posłucha, z młodymi się beztrudno pośmieje i własną młodość przypomni. Przecież to na Bielanach właśnie Józio się oświadczył, nieśmiały był i tylko serce z piernika jej ofiarował, z napisem — „zawsze twoje”.

A jej matka zaraz, jako że była niewiasta energiczna, wzięła serce z rąk córki, przeczytała napis i uśmiechnęła się.

— Ano to się pobierzcie, panie Józefie, jako że ma pan chleb, a jak się serce daje, to u nas taka moda w rodzinie, że tylko przez ołtarz. — No i tak się wszystko zaraz ułożyło „jak po maśle”. I odtąd co roku jeździli na Bielany, z dziećmi, z pieluchami, z koszami, była to pielgrzymka w przeszłość.

A przytem „słońca się człowiek napije na cały rok”, na myśli inne przyjdzie. Jakoś inaczej, radośniej, weselej patrzy człowiek w przyszłość, gdy się położy na zielonej trawie i w niebo bezchmurne popatrzy. Wszystko potem pogodniejsze i lepsze.

Jagódki, trzy córki Jagodzińskich, szyły nowe sukienki i wszywały w nie każda inne marzenia.

Jedno marzenie było wspólne — żeby tylko była pogoda.

Więc dodawały do wieczornego pacierza gorącą prośbę o słońce w Zielone Świąta.

Mania nawet usiłowała wytłumaczyć niebu, że jak się tak całe życie siedzi w ciemnym pokoiku za sklepem i ubiera od rana do nocy cudze kapelusze, to strzelista prośba o słońce powinna być wysłuchana. Tem więcej, że będzie pan Filip, wdowiec, podmajstrzy, co się do Mani uśmiecha, ale zdecydować mu się jakoś trudno, wiadomo, panna bez posagu, chociażby nawet gospodarna i ładna, to nie pociąga. Obiecał jednak, że pojedzie, i matka z Manią pełne są nadziei, że może, przecież... I będzie Wacek, malarz pokojowy, z za-

bójczym lokiem na czole, co tak ładnie na mandolinie gra i śpiewa i Rózi w oczy zagląda i nazywa ją, gdy rodzice nie słyszą — jagódką i kochaniem, a potem smętnie nuci starą piosenkę:

O ideale mój,
ty będziesz woził gnój,
ja będę świnie paść,
pójdziemy razem kraść...

I pyta potem:

— Co panna Różia na to, ładny los, co?

A Lodzia najmłodsza, co gimnazjum kończy, bo jak mówi pan Jagodziński — „jedna w rodzinie ma głowę”, marzy o koledze Tońku; obiecał, że przyjdzie, czy dla niej, czy dla jedzenia — czas pokaże. Lodzia woli myśleć, że dla niej.

Żeby tylko słońce...

Wiszą już na drzwiach trzy sukienki nowiuteńkie, pięknie wyprasowane.

Żeby tylko słońce...

Pani Jagodzińska całe popołudnie spędza przy blasze, bo to i placek z powidłami musi być i z kruszonką, i szynce smakowicie pachną w całym domu. Na tyle osób jest co robić, tem więcej, że jak dzisiaj kawalerowie jadą, to głównie dlatego, żeby sobie użyć na domowych smakołykach. Taka to teraz młodzież.

Ale majster pamięta, że i dawniej podobnie bywało, więc uśmiecha się pod zawieszystyni wąsem i mówi dobrotliwie:

— Nie żałuj, matka, raz w rok są Zielone Świąta. A jak się młodzi ugonią, na huśtawkach najeżdżą, to i zjedzą smacznie. Ja też pamiętam, cieszyłem się, jak twoja matka, Panie świeć nad jej duszą swarliwą, kurczęta z koszyka wyciągała. Żeby tylko Bóg dał pogodę.

I dał.

W Zielone Świąta niebo było błękitne, głębokie w tonie, a na stary Kraków chlusnęła poprostu zalewa wiosennego słońca.

— Pogoda! Słońce! — pisnęły radośnie wszystkie trzy „jagódki”, wyskakując z łóżek.

— Trochę jakieś jakskrawe to słoń-

ce od samego rana, żeby tylko burzy nie było — martwiła się matka.

— Niechże mamusia nie kracze.

— No, dziewczęta, na Mszę świętą, a potem jazda, na dziewiątą będzie fura i kawalerowie.

Majster wpiął kwiatek w kłapę marynarki, — jak szyk to szyk.

Majstrowa była już raniutko w kościele, a teraz pakowała prowianty do koszyków, spoglądając od czasu do czasu krytycznym okiem na córki.

— Maniu, nos ci się świeci, popudrować trzeba. Róziu, trzymaj się prosto. Lodzia,

kołnierzyk krzywo przy-

piętaś.

Bieda z tym nosem, świeci się, jakby go kto słoniną wysmarował i puder nie wiele pomaga. A Różia ma taką zieloną cerę, ale, mój Boże, cały tydzień dziewczynisko w pralni brudy rachuje, to i o rumieńce trudno. Dawniej, to panny majstrówne w domu siedziały, matce pomagały, robotki do kościołów robiły, ale dawniej wystarczyły bawełniane pończochy i perkalowe sukienki, a dziś muszą być pończochy jedwabne, a suknie też. Nie starczy na to uczciwa praca ojca, muszą więc same robić na te fatalachy i prawdziwie potrzebującym chleb zabierać.

O dziesiątej zajechała fura; siedział już na niej Wacek i grał na harmonji, śpiewając ładnym barytonem:

Róża było na imię,
mojej miłej dziewczyn-

nie,
serce ją ukochało
i wiarę ślubowało.

Ale jak zobaczył, że matka idzie, zaraz zmienił nutę i darł się na całe gardło:



Maj! maj! maj! Majówka!
jedzie panna i wdówka,
a każda już od rana,
przepięknie malowana!
Hej!

Karczęta podgolone,
oczęta podczernione,
a kiedy pocałuje,
to twarz ci poznakuje!
Hej!

Różia z obrażoną miną wskoczyła na wóz.

— To nie o pani. Pani, głowębym dał, że można twarz chustką zetrzeć, a nie będzie ani czarna, ani biała, co najwyżej brudna.

— Czy pan już co pił na wsiadanego?

— Ani tycio. Trzeźwa głowa tak prędko się nie zwraca, a muszę się mieć na baczności, żeby mi się Przy Jagódce nie zawróciła.

— Głupstwa pan plecie.

— Ale miłe.

Przerwano im rozmowę, bo gramoliła się już na wóz mama, ojciec nawoływał na podmajstrzego, bo zobaczył, że idzie poważny i uroczysty, aż matka szepnęła Mani:

— Maniu, dziecko, może ci da serce z piernika.

A koło Łodzi stał już wysoki student z mandoliną, w rękawiczkach ze świnińskiej skóry i ofiarowywał jej dwie róże, ale patrzył ciekawie nie na Łodzię, tylko na kosze z prowiantami.

Będzie bal, majstrowa wyładowała kosze, że się domknąć nie mogą, a flaszki też wystawiają szyki z koszyka.

Pojechali. Grał pan Wacek skoczne piosenki, a student smętne tanga, o miłości, śmierci i tęsknocie.

Wóz podskakiwał, robił się pisk, wrzask, śmiech.

Aż się ludzie za niemi oglądali, a pan Filip cedził w stronę Mani:

— Pani lubi taką trzęsionkę?

Potem opowiadał szeroko i długo, jakie to meble zostały po żonie i jak wszystko ma gotowe na przyjęcie drugiej. Tylko zdecydować się i wybrać trudno. Pannien jak much, każda leci na mieszkanie i chleb, a on ma takie dobre, miękkie serce i ani rusz wybrać nie może.

Zajechali na Bielany. Co ludzi! Pół Krakowa obozuje na trawie, w cieniu drzew, a wszędzie śmiech, gwar i zabawa. Dźwięczą mandoliny i harmonje, klóca się tony.

Wysoko, aż ku niebu, lecą huśtawki.

Różia też próbuje — rozkosz!

A potem woda sodowa ze sokiem, a potem wspólna fotografia z panem Wackiem i słońce, słońce, słońce.

Majstrowa rozłożyła serwetę na zielonej murawie.

Łodzia ze studentem poszli zbierać kwiatki. Rozmawiają o szkole i o profesorach. O przyszłości, i czym które z nich chciałoby zostać, a czasem patrzają na siebie i zaraz uciekają oczami.

Pan Filip poprowadził Manię na spacer. Jest milczący i zadumany, a świat taki zielony i cichy. Ptaszki śpiewają i pachną kwiaty, a Mani serce bije... może już!? Może za chwilę...

Odchrząknął raz i drugi...

— Nie uważa pani, gorąco, że tak powiem upał... Możebyśmy tak na włoskie lody, nie uważa pani? Moja pierwsza żona bardzo lubiła włoskie lody, a pani?

— Czy on zawsze będzie wspominać nieboszczkę? — myśli Mania.

Ale lody są dobre i Mania czeka dalszego ciągu z rezygnacją.

Przechodzą koło budy z piernikami i nic... A były tam takie serca, jak koła od wozu.

Ładują nareszcie koło rodziców i prowiantów.

Matka częstuje, dokłada, patrzy znacząco na Manię i martwi się, gdy ta żałośnie wzrusza ramionami.

— Niechże pan pozwoli kurczątko. Mania dla pana przygotowała. O, nasza Mania to gospodyni, do wszystkiego zręczna.

Przychodzi Różia roześmiana i Łodzia z naręczem kwiatów.

Student wcina i staje się mniej smętny. Gdyby to co dnia można mieć taki obiad.

— Może pan placka z kruszonką i kawy?

— Och, panno Łodziu, życie jest piękne.

— A za rok matura...

— Niechże mi pani kawy nie zaprawia goryczą takiego wspomnienia. Pyszna jest.

Chowa pani majstrowa puste papiery do kosza, bo nie należy zaśmiecać pięknego świata.

Młodzi odeszli i zostali tylko we dwoje.

Pan Józef kolnierzyk rozpiął, położył się w cieniu...

A majstrowa myślała: teraz wyciągnie rękę i położy ją na mojej — jak co roku — ciepłą, twardą rękę na jej spracowanej i wychudłej.

A jej będzie znowu tak dobrze, jak gdyby serce męża ujęła w dłonie.

Czeka przecież na tę pieszczotę cały rok i zawsze jest jej potem tak, jak gdyby się dopiero co pobrali.

Tak radośnie, swobodnie i dobrze.

I łatwiej potem przebyć te 364 zwykłych, szarych dni.

Siedzi i czeka, wyblakłemi oczyma wpatrzona w delikatną zielenią młodych buków...

Zapomniał...

Nie, silna ręka opada na jej dłonie, nakrywa je i zostaje tak długo, długo...

I wszystkie urazy, wszystkie drobne smutki rozplywają się pod dotknięciem tej męzowskiej ręki.

— No więc, panno Maniu, może głupstwo robię, ale niech już będzie. Niech mi pani poradzi, tak od serca, że nieć się z Fajtulińską czy nie? Kobieta jeszcze nie stara, kamieniczka czysta.

— Niech się pan żeni, kamieniczka to grunt.

— Ma pani rację.

— Panno Róziu, kochanie, co by starzy powiedzieli, jak pani myśli — rozmarzyło ich — możeby dzisiaj przypuścić szturm. Co? Pobierzemy się i będziemy razem biedę pchać, co?

— Ech, panie Wacku, niech mi pan kupi serce z piernika. Ojciec też mamie takie dał, więc go to dobrze usposobi. Ot jest, widzi pan, „zawsze twoje”.

Zaśmiał się i zaśpiewał:

Zawsze twoje, serce moje,
na miodzie pieczone,
lukrowane, cukrowane,
z piernika zrobione.

Noc była, gdy wracali. Trzęsła się fura, ale śmiech już nie wybuchał. Rozmarzyła ich zielenią i noc. Ręka Wacka trzymała dłoń Rózi. Ocierała natrętnie łzy Mania, a student kończył pokrywemu ostatnią bułkę ze szynką. Potem szepnął do Łodzi:

— Przyniosłem koleżance pamiętnik. Wpisałem się...

Łodzia przycisnęła pamiętnik do szybko bijącego serca.

Potem, gdy siostry poszły już spać, przeczytała przy świetle księżycy:

Pamiętaj o mnie, gdy burzą miotana,
w nieznanne polecisz szlaki,
ja cię wyróżnałem, czy wdole, czy
w górze,
w pamięci mojej, jak w białym marmurze.

Łodzia się śmiała, tak się śmiała, że aż się siostry pobudziły, a studenta ta poezja kosztowała tyle pracy i wydawała mu się taka piękna!

Marja Czeska-Maczyńska.

WLAZŁ KOTEK

Wlazł kotek na płotek i mruga —
Przygląda się malej ptaszynie.
Co z cicha tam ćwierka w gęstwinie,
O niczem nie wiedząc, nieboga,
A najmniej o myślach złych kotka,
Co patrzy się na nią z za płotka...

Ujrzała go wreszcie ptaszyna,
Lecz zamiast zamiary mu zdradne

Wyczytać z ócz błysku, zaczyna
W te oczy spoglądać: że ładne,
Ze czuła z nich spojrzeń łśni smuga...
Wlazł kotek na płotek i mruga.

I patrzą na siebie oboje;
W spojrzeniu ich, rzekłbyś, pieszczota
Oj, kocie, złe oczy są twoje!
Ptaszyno, oj, nie znasz ty kota!

Sielanka tych spojrzeń niedługa!
Wlazł kotek na płotek i mruga...

I patrzy się na to dziewczyna;
Los ptaszka serdecznie ją boli:
Pisnęła raz tylko ptaszyna
Ostatniem piśnięciem swej doli...
Spłynęła serdecznej krwi struga...
Wlazł kotek na płotek i mruga...

Oj, dziewczę ty moje, ty biedne!
I tobie się oczy niejedne
Anielskim spojrzeniem wydadzą,
Te oczy, co jutro cię zdradzą!...
I spłynie serdecznych łez struga...
Wlazł kotek na płotek i mruga...



„ŻYWA” TORPEDA
(Objaśnienie obrazka na str. 364)

ROLA I OGROD

LILJE BIAŁE (*Lilium candidum*)



Lilja jest arystokratką wśród kwiatów. Przepiękną budową, przemiłym zapachem i doskonałością wykończenia w każdym szczególe jest nam dostatecznie znana, tak, że nie trzeba jej opisywać. Wymaga ziemi lekkiej, przepuszczalnej, lecz nie za suchej; jako próchnicę

dać przegniły nawóz koński. Żeby dobrze i pięknie kwitły, należy pozostawiać lilje na jednym miejscu przez 6—7 lat, a przesadzać trzeba po przekwitnieniu, kiedy liście i łodygi pożółkną. Sadzenie wiosenne jest szkodliwe i niejednokrotnie pozbawia nas kwiatu na 2, a nawet 3 lata. Lilje mnoży się odrostkami, powstającymi przy starszych cebulkach, które posadzone oddzielnie w odstępach 20 cm. w kwadrat i 12 cm. głęboko, w drugim lub trzecim roku kwitną. Kwiaty cięte mają szerokie zastosowanie do wiązanek i bukietów. Lilja tygrysowa (*Lilium tigrinum*) z ukształtowania jest pokrewna poprzedniej, różni się natomiast kolorem pomarańczowym, czarno-na-

krapianym. Zabiegi hodowlane są te same, jak przy poprzedniej; stanowisko może być nieco wilgotniejsze.

Z ara w ciągu 1 roku zbieramy około 600 łodyg ciętych 8—15 kwiatowych. Dokonywane próby wysiewu nasion niekiedy dawały wyniki dodatnie. Nasiona należy wysiewać w maju do zimnego inspektu i w sierpniu rozsądę wysadzać na miejsca stałe. Po przezimowaniu, pod lekką powłoką nakrycia, w roku następnym silniejsze egzemplarze zakwitną w lipcu, wydając łodygi 4—5 kwiatowe. Do obsadzenia 1 ara potrzeba wysiać 3 gramy nasion.

(Jan Łebkowski, „Kwiaty dohodowe w gruncie“, broszura 1,50 zł. do nabycia u św. Wojciecha)

Pluskwa burakowa

To mały, zaledwie 3 mm długi, ziemistego koloru owad, a jednak groźny szkodnik buraka cukrowego. Nakluwa on roślinkę i ssie z niej soki. W miejscach nakłuc powstają małe plamki, powodujące obumarcie listków, a nawet całych roślin. Mało tego. Wpuszcza też do rany jad wirusowy, w następstwie czego roślina choruje, liście się kędzierzawią, a wzrost korzenia zatrzymuje.

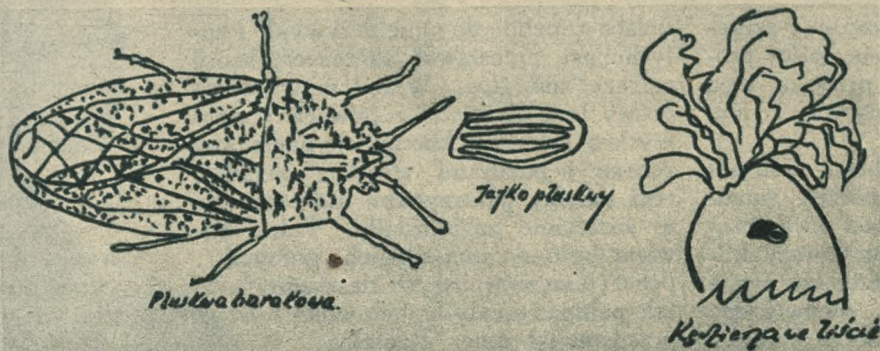
Co robić na to? Nie dopuścić pluskwy do plantacji buraczanej.

Jak? Wczesną wiosną obsiewa się przeznaczony pole pod buraki pasem nasienia buraków cukrowych lub pastewnych na szerokość 4—9 m. Narożników i środka nie obsiewać.

Gdy pluskwa zacznie działać na obsianym pasie, głęboko pas zorać i zwalować.

W międzyczasie uprawić środek pola i po zaoraniu pasów siać buraki.

Gen.



Guzy i narośla na korzeniach

To choroba bardzo rozpowszechniona w naszych czasach. Skąd się biorą te guzy? To bakterje, czyli drobne niewidzialne stworzonka dostają się przez rany do wnętrza komórek korzeniowych, szyjki korzeniowej lub nawet nadziemnych części rośliny i wywołują narośla i guzy. Najwięcej podlegają tej chorobie jabłonie i grusze. Jak się uchronić? Nie sprowadzać drzewek ze szkółek takich, w których ziemia jest zarażona danymi bakterjami, a tem bardziej nie kupować drzewek z zawiązkami guzów.

Gen.

Rower do przewożenia mleka

Przytwierdź kosze na bańki do roweru 3 prętami lub rurkami, jednak tak nisko, by punkt ciężkości wypadł poniżej osi tylnego koła, a wózek do mleka gotowy. Bańki muszą być nieco ku przodowi pochylone, wtedy ciężar lepiej się rozłoży. W ten sposób można bez trudu 2 bańki po 20 litrów mleka przewozić.

Gen.

Cukier z dalji

W Brazylii obok buraków cukrowych plantują dalję na szeroką skalę, bo zawiera dużo cukru roślinnego i to dwukrotnie słodszy od trzcinowego i buraczanego. Cukier ten jest bardzo dobry dla chorych na cukrzycę.

Gen.

Ryby latające

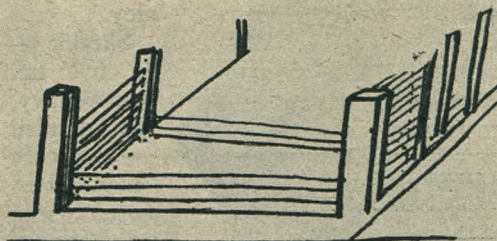
Nazywają się „kurek” i „wachlotka” lub „przepiórka morska”. Potrafią wznieść się w powietrze do 6 m, prze-

lecieć 50 m i znów wpaść do morza. Rybki te są małe, co chwila wyskakują z morza, przelatują pewną przestrzeń i znów zanurzają się.

Gen.

Gnojownia wirtemberska

Mówić i pisać o jakiejś gnojowni wirtemberskiej, kiedy gospodarze zwykłej nie mają — to niedorzeczność. A jednak chcę o tem coś napisać Sz. Czytelnikom, by zainteresowali się sposobami przechowywania mierzwy u obcych. Gnojownię taką robi się w ten sposób: Wkopuje się w ziemię czworokątne słupy betonowe zaopatrzone w fugi wzdłuż ich boków. Wyso-



kość słupów ponad ziemię wynosi 1.70 m. W fugi zakłada się okrągłe drążki, aby móc utworzyć odrębną przegrodę do obornika. Takich przegródek można zrobić kilka, zależnie od ilości bydła. Przegroda może mieć 12 m² (3×4 m), co starczy na 4 sztuki bydła. Obornik składa się warstwami do takiej przegrody, kładąc w pierw na spód ruszt żerdziowy.

Obornik przechowywany w takich gnojowniach utrzymuje wilgoć i nie wysycha.

Gen.

Opas szlachetny cieląt

Istnieje wtedy, gdy opasamy cielęta zaraz po urodzeniu mlekiem pełnym. Czasami do takiego mleka dodaje się kurze jaja. Cielę daje się do wąskiej klatki, aby się zbyt nie ruszało. Daje mu się suchą i ciepłą pościel, ciepłe miejsce.

Najpierw poić mlekiem jak na chów. Potem zwiększamy dawkę, dając tyle, ile wypije. Daje się zwykle mleka w wysokości jednej szóstej ciężaru cielęcia i dochodzi się aż do 15 litrów dziennie. Na koniec można dziennie 1 jajko dodawać. Zbadać, czy opas opłaca się. Jeżeli 10 l mleka daje przyrostu mięsa 1 kg — to się może opłacać. Gdy mniej przyrostu — sprzedać od razu cielę. Opas taki powinien trwać tylko dwa miesiące

G.

Wściekły pies

Wścieklizna jest to choroba nieuleczalna i prowadząca zawsze śmierć, jeśli w porę nie zapobiegnie się. Choroba ta najpierw rozwija się u psów, a potem przez ukąszenie udziela się innym zwierzętom i ludziom. Najbardziej niebezpiecznym jest to, że ślina psa zapadłego na wściekliznę jest już zaraźliwą jeszcze dziesięć dni przed wystąpieniem objawów choroby. Mamy dwojaką wściekliznę: gwałtowną i spokojną. Przy gwałtownej pies jest nerwowy, później chowa się po kątach, łapie muchy. Na drugi dzień ucieka, rzuca się na zwierzęta i ludzi, nie ma apetytu, a połyka drzewo, kamyki i t. d. Potem dostaje paraliżu i zdycha na czwarty lub piąty dzień od początku choroby. Przy spokojnej postaci choroby pies jest smutny, traci apetyt, wyje, jest niespokojny, lecz nie rzuca się i nie gryzie. Po paru dniach zdycha. Gdy rolniku, zauważysz takie objawy, to psa radzę uwiązać lub zamknąć na 10 dni i zawiadomić posterunek policji.

G.

Mój jaźwiec

W kwietniu oddano, niewiadomo przez kogo, w mieszkaniu mem skrzynkę, która zawierała małego jaźwca. W załączonym piśmie nadawca donosił, że jaźwiec przeznaczony jest dla moich psów.

Rozumie się, że nie zastosowałem się do tego życzenia. Po pierwsze dlatego, że ustawa łowiecka zabraniała zabijać jaźwce o tej porze, powtóre, że byłoby okrucieństwem, ćwiczyć psy na bezbronnym stworzeniu, i po trzecie, że szkoda byłoby ładniutkiego zwierzątka. Trzy psy moje, mianowicie mały biały Bobuś, Murkuś, szorstkowłosy jamnik, nagrodzony pierwszymi premjami, i brat tegoż, Żakuś, jedenaście miesięcy liczący, czerwony, krótkowłosy, innego coprawda były zdania.

Jazgocąc, skomląc, piszcząc i szczekając tańczyły dokoła mnie, jakby prosić chciały: „Daj nam przecież tego śmierdziucha, chcielibyśmy się z nim kapeczkę pobawić!”

Ponieważ borsuk nie chciał zreć ani chleptać, posłałem po smoczek gumowy i napełniłem butelkę od piwa przestudzonym mlekiem. Wyraziwszy kilkakrotnie głośnym skrzeczeniem swoje niezadowolenie z powodu niezwykłego zapachu gumy, borsuk począł krzepko i bez przerwy ssać, a ze ślepi trzech psów na ziemi błyszcząca chęć mordy. Przed południem odebrałem jaźwca, popołudniu już biegła za

mną, gdy zoczył butelkę w mej ręce. Po trzech



Gdy chciał wyjść, skrzeczał przeraźliwie...

dniach zupełnie do mnie przywykł, i natychmiast przestawał skrzeczeć, skoro usłyszał mój głos. Właził mi wtedy na prawy but, obliżywał z powagą i z namysłem lewy, lub kurczył się nagle, aby zębami i pazurami straszną urządzić rzeź między pasorzytami, które mu się w szczecinie zagnieździły. Pełno bowiem było na nim długich, grubych pcheł i jeszcze grubszych kleszczów, tak pełno, że cały brzuch jedną przedstawiał ranę. Rzetelna kuracja maściowa uwolniła go na zawsze od tej plagi.

Na sypialnię przeznaczyłem mu w piwnicy skrzynię, napchaną starymi derami, w której się wylegiwał dowoli.

Gdy chciał wyjść, skrzeczał przeraźliwie i wytrwale i draapał jak warjat

Najgorzej wychodził Bobuś, którego czarna głowa przypominała borsukowi mamę...

i moje jamniki

z krat. Lubił schludność. Potrzeby swe załatwiał w kącie piwnicy, przed którym leżał kamień; nader ucieśźnie wyglądało, gdy w razie potrzeby raczkami wysuwał się nad kamieniem z wielkim możem.

Głosy, które wydawał, składały się z przenikliwego skrzeku, gdy był głodny, albo gdy się nudził; z głośnego fukania, jeżeli się ktoś zniecał do niego zbliżył, przyczem jeżył szczecinę, nadymał się i usiłował, o ile się



Krótkowłosy Żakuś...

dało, zabezpieczyć sobie tyły. Z zadowoleniem cmokał, gdy otrzymał butelkę, i w gniewnie sapał, jeśli mu się coś nie podobało.

o drzwi piwnicy.

Skrzek jego był tak przenikliwy, że pobudził w nocy cały dom; musiałem wstać i przygotować borsuczkiowi butelkę. Słaby coprawda nie był. Ponieważ nocą zawsze hałasował okropnie w piwnicy, kazałem go wieczorem ciepło otulić i skrzynię przytłoczyć żelazną kratą, obciążoną dwoma ciężkimi kamieniami. Atoli nad ranem póty wiercił się w posłaniu, póki nie zwałił kamieni

Dość długo trwało, zanim psy do niego przywykły. Bardzo już rozumny Bobuś lekcewał go, gdy mu oświadczyłem, że borsuczek jest grzeczny, i że trzeba go szanować. Murkuś lypał na niego z nienawiścią, lecz zbyt dobrze był wychowany, aby go zaczepić. Młody Żakuś natomiast rzucał się na niego z wściekłością, skoro go zoczył, i wtenczas za każdym razem dochodziło do wielkiej awantury. Lecz gdy pies się przekonał, że jaźwiec cieszy się naszą protekcją, począł się uspokajać. Zboku tylko na nas patrzył i robił minę, jakby powiedzieć chciał: „Jeżeli wdajecie się z takim śmierdziuchem, to ja zrywam z wami”. Po dwóch tygodniach psy przyzwyczyły się do borsuka; mogłem zostawić je razem, coprawda wtedy tylko, gdy uważałem.

Borsuk, wypijając codziennie do półtora litra mleka, urosł też porządnie i umiał już dzielnie bronić swej skóry. Po trzech tygodniach wszelka obawa o niego była zbędna. Psy żadnej krzywdy mu nie czyniły, były nawet rade, gdy on je zostawiał w spokoju. Miał bowiem nikczemny zwyczaj, ustawicznie kąsać je w tylne nogi, a że im nie wolno było zemścić się, więc wyrywały, samym widokiem jego niemile dotknięte, lub uchylały się od zaczepki jaźwca, wskakując na stolki i ławy. Najgorzej wychodził na tem Bobuś, którego czarnobiała głowa przypominała widać borsukowi jego mamę; skoro tylko Bobuś się ukazał, jaźwiec rwał za nim i usiłował ssać; takie wymagania zawsze napełniały Bobusia sprawiedliwym oburzeniem i uzasadnionem zakłopotaniem. Zczasem psy zaprzyjaźniły się z małym borsukiem i bawiły się z nim, przyczem często odbywały się sceny, które wszystkie, co patrzeli na nie, bawiły do łez. Najucieszniej wyglądało, gdy jamniki spychały borsuczka z jednego stopnia schodów na drugi, a Bobuś, wietrzniakiem podważając brzuch jaźwca, znowu go windował w górę.

Dla Żakusia najmiłą zabawą było, chwycić borsuczka za kark i kwadransami go obnosić. Byłby go najchętniej zdławił, lecz jaźwiec nigdy nie pozwolił chwycić się za gardziel, zawsze tylko kark nadstawiał do tej gry, a nos spuszczał; gdy zaś jamnik za wiele dokazywał, borsuk tracił cierpliwość i zaczął kąsać, co się zowie.

Miesiąc maj przeżyłem w górach, gdzie Żakus miał sposobność pracować za sfarbowanym tropem kozła i dławić starego lisa, ale gdzie też przebył nosaciznę, i gdzie stracił brata swego, Murkusia, przez nieszczęśliwy wypadek. Gdy wróciłem, borsuk był prawie mocniejszy od jamnika i tak pewny siebie, że się niczego już nie bał. Nader zabawnym było oglądać w jaki sposób Żakus teraz się

wobec niego zachowywał. Z początku pamięć o nim zatarła się u niego, bo natychmiast wsiadł mu na skórę. Atoli, gdy jaźwiec dzielnie się bronił, i gdyśmy jamnikowi dali do zrozumienia, że mu nie wolno zaczepiać borsuka, zupełnie go lekceważył i mnie nawet schodził z drogi, skoro zwiertzył, że zajmowałem się jaźwcem. Żakus stał się zazdrosny i był obrażony.



Zczasem psy przyzwyczyły się do borsuka...

Leżałem raz pewnego po południu na leżance i czytałem. Ponieważ borsuk nieustannie mi przeszkadzał, odepchnąłem go, przyczem spostrzegłem, jak ślepie Żakusia błyszcząły z zadowolenia, bo pozwoliłem Żakusiowi położyć się bliżej siebie; takich względów dotąd nigdy nie doznawał. Od tej chwili zmieniło się zachowanie psa wobec jaźwca; bawił się teraz chętnie z nim, bo się przekonał, że on jednak więcej znaczył od tamtego.

Najchętniej zabawiali się „w norę”. Borsuk wsuwał się pod leżankę, a Żakus usiłował wślizgnąć się za nim. Jaźwiec świetnie się bronił, Żakus zaś nie dał się zpod kanapy wyprzeć, oszczekiwał borsuka zapamiętale i wywlekał go za kark z „nory”, gdy mu się oszczekiwanie sprzykrzyło, poczem dochodziło do szalonej gonitwy pod krzesłami i stołami.

Borsuczek dotąd nie zabierał się jeszcze do samodzielnego przyjmowania pokarmu i napoju, a interesował się jedynie butelką. Pewnego dnia stracił ostatni ząb mleczny, ugryzłszy w rękę znajomego, który go drażnił. Pół godziny potem rzucił się jak szalony do miski, napełnionej szczególnie ponętnie przyrządzonym ryżem, omaszczonym kawałkami mięsa i spożył całą porcję przeznaczoną dla psów, które z długimi nosami patrzyły na ten przykry dla siebie obrazek.

Od tej chwili też jaźwiec żywo zainteresował się ogrodem, tłukł się w nim po wszystkich kątach, głośno parszcząc i sapiąc wiercił nosem w powoju i kompoście i cmokając zjadał tłuste glisty i ślimaki, które napotykał, mimo, że w dniu poprzednim z głębokim obrzydzeniem wypluł i wykrztusił siekane mięso, któremu paszczkę napchałem.

Teraz zaś pożerał wszystko, co mu się nawinęło; najchętniej brał biały chleb z mlekiem, lecz nie gardził też ziemniakami, mięsem, warzywem, surową marchwią i owocem, a psy bardzo się musiały śpieszyć, jeżeli wogóle coś dla nich skapnąć miało.

Im starszy i mocniejszy był borsuk, tem stawał się bezczelniejszy. Gdy przebywał ze mną w pokoju, nie pozwalał mi siedzieć spokojnie przy biurku. Wymagał, żebym się wciąż nim zajmował; jeśli tego nie czyniłem, kąsał mnie boleśnie w kostki. Kiedy zamknięty był w piwnicy, taki podnosił wrzask i tak rumotał drzwiami, że alarmował cały dom. Psów już dawno przestał się bać; gonił je w domu i ogrodzie i doprowadzał Żakusia ustawicznym szczypaniem do takiej złości, że pies rzucał się na niego z wściekłym ujadaniem i szarpał nim zawzięcie.

Postanowiliśmy w końcu po dłuższej naradzie, ofiarować nieznośnego wychowanka ogrodowi zoologicznemu.

Kilka zaledwie dni upłynęło od czasu, kiedy borsuk tam przebywał, gdy pewien znajomy nam doniósł, że jaźwiec dzieli kwaterę

Szorstkowłosy Murkuś...



z ośmiu psami eskimoskimi, które haniebnie się z nim obchodzą. Strapiiony pospieszyłem do zoologu i udałem się wprost do kojca tych psów. Lecz nie było między nimi jaźwca; gdy się u dozorczy o niego dopytywałem, odpowiedział mi, śmiejąc się: „Ten? Nim miałyby psy poniewierać? Właśnie przeciwnie! Musiałem go eksmitować, bo nie dopuszczal psów do miski; teraz siedzi razem z małpami!”

— O biedny ty mój borsuczku! — pomyślałem, bo wiedziałem, jak podła jest małpia hołota. Atoli, przybywszy do klatki małp, zobaczyłem, jak jaźwiec w niej spokojnie i poważnie sobie spacerował, i jak zjadał wszystko, co publiczność przez kratę mu podawała; małpy zaś wlażyły na najwyższe gałęzie akacji, i stamtąd, nie mając odwagi zleźć, patrzyły na obżerającego się ich kosztem borsuka. Skoro która z nich na chwilę śmiała spuścić się na parter, jaźwiec natychmiast rzucał się na nią i ciał ją porządnie.

Przyzwyczajony do światła dziennego i do ludzi, kręcił się przez cały dzień w klatce i bawił publiczność swojemi kawałami. Umiał nawet kozły przewracać; kto go tego

nauczył, nie wiem. Małpy zaczęły już przyzwyczajać się do niego, trzymały się jednak przezornie zasady: gdzie kogo nie proszą, tam go kijem wynoszą.

Jesienią borsuk był do połowy wyrośnięty, wdział szatę zimową i wyglądał bardzo okazale. Lecz wciąż trzymały go się głupstwa. Co rano małpy wypuszczone z sypialni do klatki na wolnym powietrzu rzucały się do basenu, aby pić; jaźwiec każdej, którą dosięgnął, dawał szturchańca, tak, że wpadała do wody, i cieszył się, widząc,



Borsuk japoński.

jak mokre małpy gramoliły się z basenu.

Lecz na stałe, zajęcie to nie dawało dostatecznego upustu jego energii; począł więc rozrywać asfaltową podłogę, i to tak gruntownie, że go zamknięto do sąsiedniej klatki. I tu jednak nie zachowywał się poprawniej; wypowiedziano mu tedy obszerne, pańskie mieszkanie w klatce dla małp i przeniesiono do starej zagrody dla jaźwców, co mu się z początku wcale nie podobowało, bo był zwyczajny wygodniejszego pobytu. Ponieważ cegły i kraty stawały tu opór jego popędowi niszcycielskiemu, wyszukał sobie inną zabawę. Polegała ona tem, że jeździł zwiędzłym, sąsiadom swym, ilekroć który zbyt zbliżył się do jego zagrody, wyrwał z wielką szybkością jeden lub więcej kolców, które potem, gdy nie miał nic lepszego, spokojnie i z namaszczeniem pożuwał.

Dziś jeszcze, kiedy już lata minęły od czasu, kiedy go karmiłem butelką, doskonale mnie pamięta, i skoro dam znak świstawką, wypada ze swojej nory i czeka na spodziewany przysmak.

A z moich piesków miłych żaden już dziś nie żyje. Loens — Niedbał.

Przez życie wiodą rozliczne drogi;
Zaprawdę jest w czem wybierać,
Ale kres wszystkich jest zawsze jeden —
Po prostu: trzeba umierać!

A gdy mię spytasz, którądy kroczyć
Wśród tych dróg krętych i długich,
Powie: gdzie mało myśli o sobie
A wiele serca dla drugich. M. M. Paciorekiewicz.

„Żywa“ torpeda

(Objaśnienie do obrazka na str. 360)

Japończycy zbudowali niedawno niezawodną torpedę wybuchową, która może odegrać wielką rolę w działaniach wojennych. Torpeda ta zawsze trafi do celu, ponieważ kieruje nią człowiek. Zginie on wprowadzić w chwilę wybuchu torpedy, ale niszczyć nieprzyjaciela i jego potężny okręt, odda swej ojczyźnie nieocenioną przysługę.

Wojskowe władze japońskie zwróciły się w tym roku do oficerów rezerwy, wzywając ich do dobrowolnego zgłoszenia się celem wypróbowania torpedy. Próby takie są równoznaczne igraszce ze śmiercią. Mimo to, miał 400 potrzebnych do tego celu ludzi, zgłosiło się ich 5 tys. Świadczy to o wielkim patriotyzmie japońskim.

Na obrazku widzimy tę nowoczesną torpedę w biegu. Okręt japoński wysłał ją, aby zatopiła statek nieprzyjacielski. „Żywa torpeda“ mknie jak błyskawica. Kieruje nią odważny Japończyk, który sterując nią nieomylnie, zniszczy wprawdzie nieprzyjacielski okręt, ale sam w chwili wybuchu straci życie.

Naogół ludzie kierują się w odżywianiu zupełnie fałszywymi zasadami. Mniemają, że im więcej będą jeść i pić, tem będą zdrowsi i tem dłużej będą żyć i będą żyć.

Z obrazka obok wynika jednak, że sprawa ma się wręcz odwrócić. Każdy prawie z nas, a zwłaszcza pracownik umysłowy objada się nadmiernie. Wystarczyłaby połowa tego, co zwykle się zjada. Przez to obarcza się niepotrzebną pracą serce, utrudnia przemianę materji, t. j. zużycie trzech podstawowych środków odżywczych a mianowicie: białka, tłuszczu i węglowodanów, oraz przyczynia się do nagromadzenia grubej podskórnej warstwy tłuszczu i zatłuszczenia narządów wewnętrznych, jak serca, wątroby, nerek i t. d.

W następstwie tak niezdrowego życia, człowiek się przedwcześnie zużywa, starzeje i wreszcie umiera.

Wielkie znaczenie w odżywianiu ma dieta jarska, która jest zdrowsza od mięsnej, oraz pełnowartościowa, czyli wystarczająca zupełnie do utrzymania człowieka przy życiu. Odżywiając się stale tylko samym mięsem, człowiek, po kilku miesiącach z powodu zatrucia jadami mięsnymi umiera. Dlatego nie przekarmiajmy się i jedzmy więcej owoców i jarzyn, zwłaszcza świeżych, zawierających witaminy i sole odżywcze, których nam dostarcza prawie każda pora roku.

Dr. W. Haremski

ODŻYWIJMY SIĘ WSTRZEMIĘZLIWIE!

Organizm, który jest stale za mocno obciążony pracą trawienną i przemianą materji, zużywa się przedwcześnie tak samo, jak za silnie obciążona maszyna.

Przekarmianie zwłaszcza białkiem, podnosi ciśnienie krwi.

Obrazek { 10 dni diety mięsnej = ciśnienie krwi 122
 { 35 dni diety mlecznej i jarskiej = ciśnienie krwi 100

Przez zbyt obfite dostarczanie żywności i nagromadzenie się tłuszczu podnosi się wagę ciała. Serce musi zatem zwiększyć pracę. Jest codziennie obciążone ponad swe zdolności.

Tłuszcz dźwiga stale 10, 20, a nawet więcej kg., niż człowiek o przeciętnej wadze ciała.

Gruba warstwa tłuszczu utrudnia oddawanie ciepła i wpływa niekorzystnie na obieg krwi.

Takie stałe przeciążenie organizmu staje się w razie choroby, łatwo bezpośrednią przyczyną śmierci.

O wiele więcej ludzi umiera z powodu ZA WIELE, aniżeli z powodu ZA MAŁO.



WIELKOPOLSKA I POMORZE

POSIADAJĄ PUBLICZNY ZAKŁAD UBEZPIECZEŃ,
W KTÓRYM LICZBA POLIS DOCHODZI DO 350.000.
OLBRZYMA TA LICZBA ŚWIADCZY, ŻE WSZYSCY

DARZĄ ZAUFANIEM

ZAKŁAD, KTÓRY DAJE NAJKORZYSTNIEJSZE
I NAJTAŃSZE UBEZPIECZENIA

OD OGNIĄ

OD GRADOBICIA

OD KRADZIEŻY Z WŁAMANIEM

OD ODPOWIEDZIALNOŚCI PRAWNEJ

ZAKŁAD UBEZPIECZEŃ WZAJEMNYCH

w POZNANIU

SPEŁNIAJĄC ZAUFANIE, KTÓRE W NIM POKŁADA SPOŁECZEŃSTWO

UDZIELA NA ROK 1936

15% ZNIŻKI

OD WSZYSTKICH SKŁADEK OGNIOWYCH I GRADOWYCH.

PROSIMY ZWAŻAĆ, BY NA KWITACH
ZNIŻKA TA BYŁA UWYDATNIONA

ODDZIAŁY: W POZNANIU, PL. NOWOMIEJSKI 8. — W TORUNIU, UL. ŻEGLARSKA 22. —
W GDYNI, UL. 10 LUTEGO 18. — W BYDGOSZCZY, UL. GDAŃSKA 71. —
W OSTROWIE, UL. WROCŁAWSKA 11.

INSPEKTORZY W WSZYSTKICH MIASTACH POWIATOWYCH.

Sekwencja „Przybądź Duchu Święty”

Duch Pański napelnił okrąg ziemi, alleluja!

Niedziela, 31. 5.: Zesłanie Ducha Świętego z oktawą. Dzisiejsza uroczystość jest najwyższym punktem czasu wielkanocnego. Na Wielkanoc bowiem weszło Słońce Boskie tego świata, Jezus Chrystus, na Wniebowstąpienie posunęło się bliżej ku punktowi kulminacyjnemu, a na Zielone Świątki stanęło zupełnie na punkcie kulminacyjnym i stąd ogrzewa odtąd cały świat, zwłaszcza ludzi uczciwych i bogobojnych. Przez całą oktawę tej wielkiej uroczystości śpiewa Kościół głęboką w treści sekwencję „Przybądź Duchu Św.”. Co to jest sekwencja? Sekwencja to pieśń, którą się śpiewa po allelujowym wierszu po lekcji, a tuż przed ewangelją św. Dawniej było bardzo dużo takich sekwencji w mszale, później jednak, a mianowicie za czasów papieża Piusa V, z okazji wprowadzenia jednolitego mszału dla całego Kościoła w r. 1572, zmniejszono ich liczbę do 5. Dziś tedy śpiewa się sekwencję tylko w uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego, Zesłania Ducha Św., Bożego Ciała, Matki Boskiej Bolesnej i w Dzień Zaduszny (tę ostatnią także w mszy świętej, którą się odprawia w dzień śmierci wzgl. pogrzebu i w rocznicę śmierci). Najpiękniejszą co do treści jest bez wątpienia sekwencja przeznaczona na dzień dzisiejszy. Co za głębia myśli w niej! Składa się ona z 5-ciu podwójnych zwrotek. W pierwszej zwrotce powtarzamy aż 4 razy „Przyjdź”, przez co chcemy wyrazić swą głęboką tęsknotę za Duchem Św. i swoje „narzucanie się” Jemu, aby koniecznie wstąpił na nas i w nas. Druga zwrotka wymienia aż 6 tytułów Ducha Św.: Poczyciela, słodkiego gościa

duży, słodkiego pokrzepienia, spoczynku w pracy, ochłody w skwarze i pociechy w płaczu. W trzeciej zwrotce prosimy Ducha Św., aby napelnił wnętrza serc wiernych. Więc nasze serca mają być niejako naczyniami, które Duch Św. ma napelnić kosztownym winem Swych boskich darów. Bądźmy tedy naczyniami próżnymi, aby Duch Św. mógł je napelnić. Będziemy takimi, jeżeli wypróżnimy je z miłości własnej, z rozumiałości i pychy i wogóle z wszelkiego własnego „ja”.

Druga połowa trzeciej zwrotki mówi, czym jesteśmy bez działalności Ducha Świętego w nas. Słyszmy, że jesteśmy niczym. Wobec tego prosimy Ducha Poczyciela w czwartej zwrotce, aby zmył, co jest brudnego, zrosił, co jest oschłego, zleczył, co jest zranionego, nagiął, co jest uporne, ogrzał, co jest zimne i nawrócił, co jest na bezdrożach. W ostatniej zwrotce prosimy Ducha Św. o Jego 7 darów, o szczęśliwy koniec i wieczyste szczęście. Jaka wspaniała mistyka Ducha Św. w tej przepięknej sekwencji!

Oby tylko wierni ją częściej odmawiali, przynajmniej teraz w oktawie dzisiejszej uroczystości. Chóry katolickie znajdują ją w śpiewniku Ks. Siedleckiego pod nr. 125.

Poniedziałek, 1. VI., świąteczny. Dzisiaj zwraca się Kościół do ochrzczonych w sobotę przed Zielonemi Świątkami i przypomina im wielką doniosłość chrztu, który co dopiero odebrali. Dlatego ewangelja wyjęta z rozmowy Pana Jezusa z Nikodemem.

Wtorek, 2. VI., wśród oktawy.

Środa, piątek i sobota, letnich Dni kwartalnych. Letnie Dni kwartalne były pierwotnie przeznaczone na dziękczynienie za zebrane żniwa pszeniczne. Obecnie dziękujemy Zbawicielowi za żniwa Jego zmartwychwstania i wniebowstąpienia, t. j. za łaski Ducha Św. 2 kolekty i 2 lekcje.

Czwartek, 4. VI., wśród oktawy. Dopiero w sobotę po skończonej mszy św. upływa wesoły czas wielkanocny. Jakie korzyści dla duszy osiągnęliśmy z niego w obecnym roku kościelnym?

Tak może wyglądać za- wiadomienie o ślubie

JAN ROZTOKA
POZNAŃ



ZOFJA PRZYMUSKA
KOŚCIAN

W CIENIU KRZYŻA
ZAWARLI ZWIĄZEK MAŁŻEŃSKI
W KOŚCIANIE 18. VI. 1936 R.

Wśród drobiaz-
sługujemy się
jeszcze brzydki
downictwa. Wez-
zawiadomienia
często są one
do źle dobranych
treści. Czyż nie uginają się wprost pod ciężarem pustych, niepotrzebnych słów: „mamy zaszczyt...”
i t. d. Wszystko to można zastąpić czemś ładnym, miłym, pomysłem. Oto obrazek pomysłu
włoskiego artysty Bije z niego chrześcijańska prostota. Niedużo na nim słów, a ile treści mają
te trzy słowa: „sub umbra crucis” (ślub kościelny — w cieniu krzyża). Wartości i u nas wpro-
wadzić takie zawiadomienia. Damy w ten sposób pracę polskiemu artyście, a dla nas obrazek taki
będzie miłą pamiątką.

gów, któremi po-
codziennie, tyle
i martwego našla-
my za przykład
o ślubie. Jakże
brzydkie tak co-
czczonek jak i

Czy już w tym roku apostowałaś choć raz jeden dla prasy katolickiej?

Dzisiaj dużo jest ludzi, którym Przewodnik Katolicki jest solą w oku i którzy chcieliby go wyrzucić z domów katolickich.

Im więcej żli silą się na to, aby Przewodnik Katolicki w naszych domach przestał

być miłym gościem, tem więcej wy się starajcie o to, aby nie było jednego domu katolickiego w Polsce bez Przewodnika.

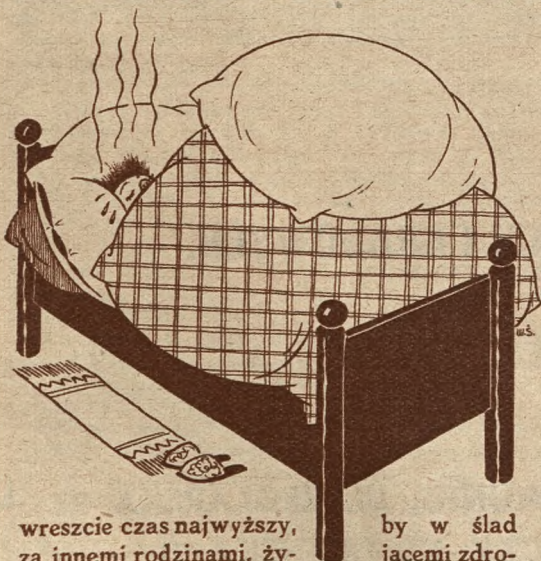
Rozpoczynamy znakomitą powieść Marji Czeskiej-Maczyńskiej „Za grzechy Ojców”.

Oto wymieniona sposobność, aby zabrać się do apostołstwa prasy i przyciągnąć Przewodnikowi Katolickiemu nowych abonentów.

Niech światłość świeci w ciemnościach.

Pierzyny — szkodliwe i niepotrzebne

Choć kilka słów o pościeli. Zupełnie niepotrzebne są wszelkiego rodzaju pierzyny, spodki czy piernaty i byłby



wreszcie czas najwyższy, za innemi rodzinami, żywotnie, i z reszty do-
nęły te wszystkie pie-

by w ślad
jącami zdro-
mów znik-
rzyny.

Ciało nasze podczas snu potrzebuje tylko lekkiego przykrycia, aby nie zziębło, a na to zupełnie wystarczy zwykły koc lub kołdra nie gruba, a zimną w nieopalanym pokoju mała pierzynka, tak zwany becik, położony tylko na nogi. Latem, w dni bardzo ciepłe, powinno się przykrywać tylko prześcieradłem. Proszę mi wierzyć, że takie okrywanie ciała podczas snu, jest dla ciała naszego bardzo zdrowe i konieczne.

W czasie snu bowiem skóra nasza oddycha (nietylko płuca), to jest czerpie z powietrza tlen w swoje komórki, oddając go krwi, która znowu płynie w całym organizmie i tą odświeżoną krwią odnawia wszystkie narządy wewnętrzne. Jeżeli więc ciało nasze jest tak mocno okryte, to powietrze nie ma dostępu wcale do naszej skóry i nie może oddawać jej tyle tlenu, ileby ona potrzebowała i co byłoby z dużą korzyścią dla odświeżenia naszego ciała. Im bardziej bowiem w czasie snu krew odświeży się, tem lepiej odnowi się całe

ciało. Rano będziemy czuć się o wiele zdrowsi, bardziej wypoczęci. Przy takich warunkach nie trudno nam będzie rano wstać do swoich obowiązków.

Natomiast zupełnie inaczej przedstawia się sprawa, gdy zanadto okrywa się do snu. Najpierw więc z powodu grubego i nieprzewiewnego przykrycia ciało zanadto się rozgrzewa i przez to właśnie nadmiernie rozszerzają się tętnice i żyły w skórze. Tym sposobem również za wiele krwi zalega w tych żyłach a za mało krwi odświeżonej dostaje się do narządów wewnętrznych i do mięśni i człowiek budzi się rano mniej wypoczęty i gnuśny.

Usypiając, trzeba jeszcze zwracać uwagę, żeby leżeć wyprostowanym nawznak albo na prawym boku. Spanie na lewym boku, zwłaszcza dla osób nerwowych, nie jest dobre, bo uciska serce i powoduje niespokojne sny.

ZA GRZECHY OJCÓW

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

3)

(Streszczenie z poprzednich numerów)

W Niżnej Woli gospodarzy Rafał Kopeć, człek silnego, nieugiętego charakteru. Obawiają się go dwie siostry, Karolina i Sydonja. Jedyne najmłodsza, Julka, nie ugięła się niegdyś przed wolą brata i porzuciła dom, poślubiając obcego człowieka. Od tego czasu Rafał przekreślił w pamięci imię najmłodszej siostry, której zresztą życie nie szczydziło ciosów. Mąż ją porzucił, zostawiając na jej opiece córeczkę. Julka więc zaznała biedy i głodu. Wreszcie zawód tancerki kabaretowej zupełnie zmarnował jej siły. Julka umiera w warszawskim szpitalu na gruźlicę. Przy śmierci jest jej siostra Sydonja, którą Rafał wysłał, aby zajęła się po śmierci Julki losem jej córki.

— Pani do kogo?

— Jestem siostrą sublokatorce pani, Julji Waren.

— Ach tak, niechże pani pozwoli dalej. Nie posprzątane jeszcze i syn mój jeszcze nie wstał. Ale może do pokoju pani Waren. Biedactwo, zabrali ją wtedy z kabaretu prosto do szpitala. Byłam ją nawet odwiedzić, nie wymawiając, chociaż wolę sama chorować, niżeli chodzić po szpitalach. Ładnie wyglądała, miała takie rumieńce. Siostra mówiła, że to z gorączki, ale ja myślę, że czerwone policzki to zawsze oznaka zdrowia. Proszę, niechże się pani rozgości...

Weszły do małego, miłego pokoiku, pełnego słońca. Skromne, jasne meble, dwa foteliki wyściełane, na oknie doniczki z kwiatami, a nad łóżkiem metalowy krzyżyk i różaniec.

Jakaś książka porzucona na szafeczce koło łóżka, robótka na stoliku... Ktoś odszedł i wróci za chwilę...

O nie, odszedł, by już nigdy więcej nie powrócić.

Coś prostego i pogodnego jest w atmosferze tego pokoju.

— Była już pani w szpitalu u siostry?

— Spędziłam tam noc, umarła nad ranem...

— Co też pani mówi! Co za nieszczęście! Taka młoda i ładna kobieta! Jadła już pani śniadanie? Będzie za chwilę... Zdaje mi się nawet, że mleko wyleciało... nie czuje pani? Tak, napewno mleko, zaraz wrócę.

Wybiegła, a panna Sydonja szła znowu śladami życia Julki po tej zawilej, pełnej niespodzianek drodze. Tu jej siostra wypoczywała, tu była sama sobą...

Tu było jeszcze coś z dawnej Julki.

I panna Sydonja raduje się tym różańcem, jak odnalezionym skarbem. To jeszcze różaniec z Niżnej Woli. Sama go niegdyś przywiozła Julce z odpustu w Częstochowie i teraz owinie go koło jej bladych, przejrzystych, martwych rąk.

Gospodyni wróciła z filiżanką kawy na tacy, nerwowo zaciągała się papierosem i namawiała pannę Sydonję, by koniecznie coś zjadła.

— To trudno, życie ma swoje prawa.

Była zmartwiona szczerze utratą lokatorki.

— Bo to różne są, wie pani lokatorki, a pani Waren, choć to niby była

z kabaretu, to przecież była taka cicha, spokojna, że poprostu nie wiedziałam, że mam lokatorkę. Nigdy nie przyjmowała żadnych męskich wizyt. Gotowała sobie sama, o tam, za parawanem miała swoją kuchenkę elektryczną i kilka swoich garnków. Wszystko tylko dla dziecka. Przychodziła dziewczynka do niej zawsze w niedzielę. Szły razem do kościoła, a potem na obiad do restauracji, na podwieczorek do cukierni, albo jechały na cały dzień za miasto. No i umarła... Młoda była, mogła jeszcze żyć, ale takie nocne życie to niszczy, noc w noc tańczyć, uśmiechać się, pić. Bo one to proszę pani mają procent od sprzedanych napojów. Kochała taniec, ale w ostatnich czasach to przychodziła do domu taka zmęczona. Ciężki chleb, jeden z najcięższych, a ludziom się zdaje, że to raj. Meble są moje, ale są na strychu kufry pani Waren, można wszystko zapakować i zabrać.

Tak... można zabrać... Ale teraz chciałyby poszukać jakiejś sukni, w którą możnaby siostrę ubrać do trumny.

Przeglądają obie z gospodynią. Wiszą w szafie przedziwne stroje, jakich panna Sydonja w życiu swoim nigdy nie widziała. Przelewają im się przez ręce opalizujące gazy, hafty, strój marynarza z białego atlasu, hiszpański, egipski, japoński, suknie wieczorowe wycięte na plecach aż do pasa, trzymające się na cieniuchnych paskach jedwabiu... Szary kostjum o prostym angielskim kroju, w którym zawsze wychodziła z Jolą w niedzielę... Futro...

Tyle tego wszystkiego, tyle wszystkiego, a sukni na śmierć niema... Niema takiej, w której możnaby biedną Julkę ubrać po śmierci.

Chyba ją spówić całą w ten miękki, szary jedwab, którego krawcowa nie zdążyła jeszcze przerobić na jedną z tych sukien z obnażonymi plecami.

— Najlepiej byłoby te wszystkie szmatki w piec wsadzić, niechby się w popiół rozpadły... — myśli panna Sydonja, ale jest zbyt oszczędna, by myśl w czyn wprowadzić.

Zresztą odrzuca ją zaraz. Przecież może coś z tego będzie można przerobić dla Joli, w każdym razie może się przydać...

Narazie więc pakuje buciki czarne na wysokim obcasie, ten szary jedwab, koronkę i krzyżyk...

Gospodyni każe stróżowi znieść kufry ze strychu i popołudniu zajmą się pakowaniem...

— Więc Jola Waren jest siostrzenicą pani?

Badawczo patrzą oczy pani Skierskiej zza szkieł okularów, gdy panna Sydonja opowiada, a potem kończy:

— Pragnęłabym siostrzenicę moją odebrać z pensji, ponieważ nasze warunki materialne nie pozwalają nam na dalsze kształcenie.

— Odebrać? Dziewczynka jest wybitnie uzdolniona i szkoda byłoby...

— Trudno.

— Pensja zapłacona jest jeszcze do końca bieżącego miesiąca.

— Pragnęłabym siostrzenicę zabrać ze sobą zaraz, nie mogę przyjechać raz jeszcze, to koszt zbyt wielki.

— Jeżeli pani sobie życzy, to może być gotowa nawet za parę godzin... Tylko, prawdę mówiąc, żal mi dziecka... Czy nie moglibyście ją państwo zostawić przynajmniej do końca roku szkolnego? Przecież kilka miesięcy to dużo znaczy w ogólnym wykształceniu. O ile wiem, Jola ma jeszcze ojca.

— Który porzucił żonę i córkę przed kilku laty i przepadł bez wieści.

— Ach, tak... o tem nie wiedziałam. Polecę więc spakować rzeczy Joli, a ją samą przysię tu pani... Najlepiej będzie, jeśli pani sama powiadomi dziecko o śmierci matki... Będzie to dla niej ciężkim ciosem, bo bardzo się z matką kochały.

Panna Sydonja została sama. Siedzi na skrajku krzesła, sztywne, wyprostowane i pełne niepokoju oczyma patrzy w drzwi. Wyobraża sobie, że przez nie wejdzie dziewczynka Julki, że spojrzą na nią znowu orzechowe, wilgotne oczy, do tamtych podobne... Układa sobie, jak ją przytuli po macierzyńsku i ciepłem własnego serca zładodzi cios, który los wymierzył.

Ale oto otwierają się drzwi, i serce panny Sydonji zastyga w lod...

Wysoka, szczupła dziewczynka w granatowym mundurku nie przypomina w niczem Julki. Ma suchą, ściągłą twarz Józka Warena i jego szare, chmurne oczy. Czarne skrzydła brwi zbiegają się nad nasadą nosa, broda ma energiczny, kanciasty zarys.

Serce panny Sydonji zamyka się, jak mimoza za dotknięciem ludzkiej ręki... ktoś obcy, ktoś wrogi.

Szare oczy dziewczynki patrzą uważnie w pobladłą twarz starej panny. Ukłoniła się i czeka, żeby starsza pani przemówiła do niej pierwsza.

Panna Sydonja przewyciężyła się z trudem:

— Jestem twoją ciotką, kochanie...

— Mususia nigdy mi nie mówiła, że ma jakąś rodzinę. Czy pani była u mamusi?

— Tak, byłam u niej... przez całą dzisiejszą noc.

Ręka panny Sydonji ujmuje rękę dziewczynki. Jest to ręka więcej chłopca, niżeli dziewczynki — szorstka o ruchliwych, ciekawych i opornych palcach, które odruchowo starają się unikać pieszczoły. Wogóle w całej dziewczynce jest jakiś podświadomy opór, chęć zaznaczenia granicy pomiędzy nią a tą ciotką, „spadłą z nieba”, jak sobie ją określa w myśli — „uroczystą jak chorągiew od wielkiej pompy”. I „to” ma być siostra mamusi? Jakimż cudem? Mamusia taka wytworna w swoim

szarym kostjumie i maleńkim kapelusiku na złotej burzy włosów i ta pani zapięta pod szyję, w sukni wyszarzałej na szwach, z włosami uczesanymi do rozdziału i związanymi na śmieszny supepek nad zwiędłym karkiem.

Wcale nie jest ucieszona tą ciotką. Stoi chmurna i nadaśana, a panna Sydonja milczy także, szuka dobrych, serdecznych słów i jakoś nie może ich znaleźć. Boże, nie myślała, że to będzie tak trudno, słowa rozlatują się jak ptaki spłoszone.

— Obiecałam twojej mamusi, że zajmę się tobą, kochanie.

Po wrażliwej twarzyczce dziewczynki przesuwa się cień, w szarych oczach czai się nateżona uwaga.

— Pani tak dziwnie mówi, że mi zrozumieć trudno. Mamusia przecież zawsze zajmowała się mną sama.

— Moje dziecko, w życiu człowieka chwila może zmienić bardzo wiele, tak... tak się właśnie stało z twoją mamusią, i nie będzie się już mogła zajmować tobą. Była chora, ciężko chora, przed kilku dniami dostała wybuchu krwi.

Jak to trudno powiedzieć, usta się prosto wzdrygają.

Ale Jola już wie. W jej szeroko rozwartych oczach jest bezradna groza. Nie płacze, szepce tylko cichym, załamującym się głosem, nagle dziwnie wysokim:

— To mamusia umarła?!

Panna Sydonja milczy, nie jest w stanie przemówić, szuka chustki do nosa w głębinach swego aksamitnego worka i usiłuje uniknąć spojrzenia w te oczy bolesne.

— Moja mamusia... umarła... Moja mamusia...

Jola Warden usiłuje ogarnąć myślą wypowiedziane słowa i nie może.

To takie straszne, gdy się pomyśli, że jedyna istota, którą się kochało, ta najlepsza, najdroższa odeszła od nas na zawsze.

I nie przyszła do niej, nawet we śnie, nie pocałowała, nie pożegnała się z nią, jak to być może?

Tak odejść od swojego najukochańszego dziecka bez słowa.

Dlaczego nie wezwała ją do siebie? Dlaczego?

A panna Sydonja, jakgdyby odgadywała myśli, rozsadzające tę młodą głowę, mówi cicho:

— Gruźlica jest bardzo zaraźliwa w ostatniemu stadium i matka lękała się, że mogłaby cię zarazić. Kochała cię bardzo i dlatego lękała się o ciebie.

— Kiedy mamusia umarła?

— Dzisiaj nad ranem.

— Czy bardzo cierpiała?

— Nie, zgasła spokojnie. Kazała cię ucałować, pobłogosławić. Ubrałam ją już do trumny, leży w domu przedpogrzebowym i zaprowadzę cię do niej. Po pogrzebie pojedziemy do Niższej Woli i zostaniesz już u nas na zawsze.

— U kogo „u nas“?

— Mamusia twoja ma brata i dwie siostry, ja jestem jedną z nich.

— Dlaczego mamusia nigdy nie wspominała mi o was?

— Nie wiem...

— Nie będę się dalej uczyła?

— Nie jesteśmy bogaci, i brat powie-

dział, że wykształcenie, jakie odebrałaś, wystarczy ci zupełnie...

— Trzy klasy gimnazjalne!.. A ja marzyłam... no tak, ale jeżeli mamusia umarła, to i reszta obojętna. Poprosto skończyło się wszystko... Tak się dziwiłam, że mamusia nie przyszła po mnie w niedzielę, a ona biedna... Och, jakie życie jest ciężkie!

Jednak Jola nie poddała się bólowi, nawet gdy stała w domu przedpogrzebowym u trumny matki, nie płakała, nie mogła. A przytem mamusia ta w trumnie, była taka inna, taka obca... Z tym uśmiechem na ustach rozchyłonych, jakgdyby chciała coś swojej Joli powiedzieć i nie mogła już. Więcej z mamusi było w jej pokoju. Zdawało się Joli, gdy po pogrzebie usiadła w foteliku przy oknie, że to wszystko sen, straszny, koszmarny, że lada chwila drzwi się otworzą i wejdzie mamusia, przytuli ją, ucałuje, zaśmieje się:

— To wszystko śniłaś tylko...

Weszły tylko panna Sydonja i gospodyni. Mówiły o pogrzebie. I Jola myślała o tem, że za trumną matki szli jacyś dziwni ludzie, panie wymalowane, jaskrawo ubrane, panowie, których nigdy nie widywała w towarzystwie mamusi, ludzie z obcego świata, jak ich nazywała w myśli. I skąd oni za trumną? I panna Sydonja ze swoim bawełnianym parasolem i aksamitnym workiem... A potem na grobie kilka pięknych wieńców z napisami. Uderzył ją jeden z purpurowych róż ze wstęgami: Ostatnie pożegnanie — koleżdy i koleżanki.

Czy to od tych pań wymalowanych?

Koncert w lesie

Przysłowie ludowe mówi: Nadzieja jest matką głupich. Co to znaczy? To znaczy, że niemądry jest człowiek, który beczynnie opuszcza ręce, wzrokiem tonie w niebie, goniąc obłoki i chmury, marzy o niebieskich migdałach, marzy, że pieczone gołąbki same mu wleczą do gąbki, marzy o szczęśliwej wygranej w loterii, w dolarówce lub pożyczce inwestycyjnej, a zapomina o prawdzie, wypisanej wielkimi literami na jednym z naszych banków: Oszczędnością i pracą narody się bogacą.

Ale obok nadziei głupiej istnieje także nadzieja mądra i dobra, nadzieja, że po deszczu zaświeci słońce, że po kryzysie nastaną wreszcie lepsze czasy, że po cierpieniach ziemskiego żywota czeka nas korona wiecznej chwały. I nie psujmy tej nadziei ani sobie, ani innym ciągle narzekaniem i jęczeniem. Albowiem jak kwiat nie może żyć bez słońca, tak człowiek nie może żyć bez nadziei.

Kolorem nadziei jest zieleń. Dlatego też zieleń jest nam do życia tak bardzo potrzebna. Szkoda, że jest jej w mieście tak mało. Mamy wprawdzie planty miejskie, ale są one tak krótkie, że zaledwie wkroczyłeś w nie jedną nogą, drugą już z nich wychodzisz. Na ulicach stoją wprawdzie rzędy drzew, ale często tak wątych i chu-

dych, że same wstydzą się swej nędzy. A podwórza wielkowiejskie są z reguły ponure i szare jak więzienia, a przecież tak łatwo byłoby zasadzić tam choć drzewko zielone lub krzew lub kilka zagonów trawy albo kwiatów. Dobrze, że jeszcze tu i owdzie widać na oknie doniczkę z zielenią ku rozweseleniu oka i serca.

To też od czasu do czasu uciekam poza miasto, by wśród zieleni lasów i pól odświeżyć ciało i pokrzepić duszę. Dziwię się tylko, że tak mało ludzi odczuwa podobną potrzebę. W lokalach przy kawie i płótkach widać setki ludzi, a wśród cichej przyrody spotkasz zaledwie tu i tam jakiegoś samotnika.

Razu pewnego pojechałem pociągiem wycieczkowym poza miasto. Pociąg składał się z lokomotywy i ośmiu wagonów. Z ośmiu wagonów wysiadło ośmiu ludzi, a wśród nich czterech mówiło po niemiecku. Oto nasze zamiłowanie przyrody.

Przed laty byłem z wycieczką w Tatrach. Z plecakiem na grzbiecie i laską w rękę wspinaliśmy się na szczyty. Po drodze spotkaliśmy inne wycieczki, wśród nich jedną i drugą rozgadana — po żydowsku, najczystszy żargonem. Zdawało mi się, że wyniosły Mnich spuścił głowę, Giewont zakrył się chmurami, a Rysy pękły z wielkiego zdziwienia; a tymczasem w stłoczonych lo-

kalach zakopiańskich tańcowali mili rodacy dniami i nocami. Lecz dajmy spokój wspomnieniom. Otóż jako miłośnik przyrody wybrałem się pewnego pięknego dnia za miasto do lasu. Usiadłem na zwałonym pniu, zamknąłem oczy i wsłuchiwałem się w koncert leśny. Poważnym basem szumiały stare drzewa i dzwoniły srebrzyste listki brzozy i osiki; wilgi śpiewały, kukułki wołały, gołębie dzikie gruchały, owady brzęczały, a dzieciół wystukiwał takt. Doprawdy, ładniejsza to muzyka niż niejedne modne kawałki, w których jest wiele hałasu i wycia, a mało melodji i taktu.

A równocześnie nos, ten pogardzony i zaniedbany nos ludzki, używał drugiego koncertu, koncertu woni leśnych, które z kadzielnic przyrody unoszą się ku niebu na chwałę Stwórcy. Radują się płuca mocnym, żywicznym zapachem sosny; z pobliskich łąk niesie wiatr odorującą woń siana; słodko pachną jaśminy i różne zioła leśne; raz po raz uderzy o nozdrza ciężka a miła woń orzecha lub grzybu. Prawdziwa uczta, prawdziwy koncert dla nosa ludzkiego. Że istnieją koncerty dla ucha o tem każdy wie. Istnieją też koncerty dla oka — w kinach i muzeach. Istnieją koncerty dla smaku, kiedy to wprawna ręka kucharki wygrywa na podniebieniu naszym prze-

Koleżanki i koledzy mamusi... oni?! Pani Skierska odesłała już jej rzeczy. Leżą w kącie pokoju dwie skórzane walizy, które mama kupowała.

Pociąg odchodzi dopiero o 23...

Panna Sydonja myśli, że trzeba jeszcze pójść do kabaretu „Tańczących kotów”, żeby odebrać należącą się Julce gazetę, a przytem chciałyby zobaczyć to miejsce, które Julka określiła mianem „piekła”.

Jola wypita herbatę, przyrządzoną przez gospodynię i skuliła się w fotelu u okna. Tyle razy siadywała w nim mamusia, a ona na małym stołeczku zajmowała miejsce u jej kolan i tak sobie rozmawiały o zmierzchu o wszystkim, marzyły, jak to będzie, gdy Jola zda maturę. Pójdzie na lekarkę, mamusia będzie miała wtedy siwe włosy i będą już zawsze razem, nietylko od święta, nietylko w niedzielę...

Mamusi niema, a Jola nigdy nie będzie lekarką...

Nawet na grób mamusi nie będzie mogła pójść, by z wiosną zanieść śnieżyczki, które mamusia tak lubiła...

Nowe życie.

To zupełnie tak, jakgdyby jeden rozdział książki się skończył, a zaczynał drugi. Co w nim będzie? W każdym razie nigdy już nie będzie w nim mamusi, jej pieścioty pełnej serca, jej miłego głosu, jej dzwicznego śmiechu.

Jakie straszne jest to słowo — nigdy!

Panna Sydonja zagląda jej w twarz, więc Jola zamyka powieki i udaje, że śpi. Nie ma ochoty mówić, pragnie zostać z myślą o matce, rozkoszować się jeszcze czarem wspomnień, zamkniętych

różne melodie: gorzkie i słodkie i pieprzne i kwaśne i jeszcze inne. Gdyby też jaki artysta wynalazł organy, któreby zamiast tonów wydawały zapachy, jakieby tam można wygrać melodie o pięknych zapachach lasów i pól, o wonnych malinach i pachnącym chlebie, o przeróżnych woniach miłych lub przykrych w przyrodzie i życiu. Może jaki bystry czytelnik każe sobie taki wynalazek opatentować; byłaby to nowość, na której możnaby zarobić piękny grosz.

Po leśnych wędrownkach i marzeniach poszedłem do restauracji leśnej, by pokrzepić się kawą i wiejskim chlebem. Gości było niewiele mimo pięknego dnia.

Przy samotnym stoliku siedzi pewien redaktor z Poznania. Siwe włosy zaczesane do tyłu. Marzące oczy utopione w zieleni lasu. Przed nim na stole szklanka piwa. Redaktor jednak zamiast pić, zdawał się czekać na chwilę, kiedy biała piana zamieni się w nicość. Czy praca dziennikarza i redaktora nie jest podobna do tej znikającej piany? Gdy poeta lub powieściopisarz napisze książkę, to książka trwa — nieraz przez długie lata. Lecz gazeta? Gazetę czyta się, a potem wyrzucają precz na śmiecie lub zawijają w nią kielbasę lub palą na ogniu. Nawet nasz zacny „Przewodnik” nieraz poniewiera się po bruku, mimo że zasługiwałby na lepszy los, choćby dla świętych obrazków, które zawiera. Są gazety, których naprawdę chować nie warto. Ale są też czaso-

w tym pokoiku, gdzie jeszcze wszystko pełne jest mamusi.

— Spi — szepce panna Sydonja. — Biedne dziecko! Niech sobie wypocznie przez te kilka godzin, a ja wyjdę jeszcze do miasta, mam jeszcze coś do załatwienia.

— Zostanę przy niej — szepce gospodyni — bo gdyby się zbudziła, byłoby jej tu może straszno samej.

Straszno samej? O nie, przecież tu jeszcze snują się najdroższe wspomnienia i czegoż miałyby się obawiać? Czyż nie byłoby największym szczęściem, gdyby zjawił się przy niej duch matki.

Zamknęła oczy, by nie rozmawiać i zmorzył ją sen; zdawało się jej, że jest znowu z matką, że tuli ją jej ramiona...

Panna Sydonja wyszła cichutko.

Zawołała taksówkę i podała ostatni adres z tych trzech, zanotowanych w szpitalu.

Zdaleka już uderzyła ją barwna gra świateł. Zapalające się i gasnące lampki pisały na ciemnym tle bezksiężycowej nocy purpurą liter:

„Kabaret tańczących kotów”.

W olbrzymim holu wejściowym, jarzącym się od neonowych świateł, panna Sydonja oddała w garderobie swój skromny, szary płaszcz. Nie zauważyła spojrzeń, jakie za jej plecami wymieniała służba, ani drwiącego uśmiechu błyszczącego od złotych lampasów portjera. Uwagę jej przykuły fotografie. Pomiędzy lustrami, na białym marmurze ścian, pełno było fotografii, barwnych afiszów reklamowych. Oczy pan-

pisma, pełne mądrych i dobrych myśli, które warto przechować, sobie na pamiętanie, drugim na pożytek.

Przy innym stole siedziały cztery panie, które przyjechały z Poznania samochodem do lasu nato, by przez kilka godzin grać w brydża. Od woni leśnych miłszy jest im dym papierosa, cd śpiewu ptaków miłsza jest licytacja: piki, kara, mały szlem, wielki szlem — i jak się tam te mądrości karciane nazywają. Rozumiem, że ktoś gra w karty dla rozrywki godzinę lub dwie — na grosze lub na paciorki. Ale nie rozumiem, jak można trawić całe noce na hazardzie, tracąc ciężko zarobione grosze. Nie rozumiem też, jak ludzie mądrzy mogą przez długie godziny siedzieć przy brydżu, tracąc drogi czas. Jest tyle miłych, szlachetnych zabaw na świecie; jest tyle ważnych spraw, o których warto mówić: religia i polityka i sprawy gospodarcze i Mussolini i negus i wystawy sztuki i teatr; ale prawdziwego brydżystę to wszystko nudzi. To też w cichości serca myślę, że gorączka brydżowa to chyba jakaś zaraźliwa choroba, którą trzeba leczyć potężnym zastrzykiem w żyły i jeszcze potężniejszym podatkiem od kart, aby ludzie przestali wreszcie marnować rozum i czas na to beznadziejne i bezdenne karciarstwo.

Opodal było podjum, zbite z desek; na niem przy dźwiękach radja tańczyły dwie pary. A więc dancing leśny.

ny Sydonji ślizgały się po tych zdjęciach rozmaitych, w poszukiwaniu siostry. Znalazła...

Cała boczna witryna pełna jej fotografii...

Taka piękna... taka obca... taka bezwstydną...

Ale w oczach, w tych ślicznych orzechowych oczach ból, tępy, martwy, obojętny wyraz...

Jakże cierpiała...

A służba patrzy na tę przedpotopową jej jeźdźcę, w zapiętej pod samą szyję staromodnej sukni, z fryzurą prababek i z tym aksamitnym workiem.

— Heca! Co? — drwiąco wykrzywił się jeden wygalonowany lokaj do drugiego.

— Czego ona tu szuka?

— Lepiejby babina spać poszła.

— Ano, za swoje pieniądze każdy może się zabawić, jak mu serce dyktuje.

Usłużnie lokaj otwiera przed nią drzwi do sali.

— Dziękuję...

Panna Sydonja odrywa się od fotografii Julki i staje w progu olbrzymiej sali. Złocenia i marmury, lustra i mnożące się w nieskończoność światła, stoliki nakryte białymi serwetami, i kwiaty w smukłych flakonach. W głębi sali orkiestra, a obok niej łoża wybita purpurowym aksamitem, a w niej dwie młode kobiety w głęboko wyciętych wieczorowych sukniach. Sztuczne klejnoty, utlenione włosy, jednako namalowane łuki brwi, podciemnione oczy, karminem zabarwione usta i oczy wpatrzone w salę pustą jeszcze. Oczekujące, atrypiną powiększone oczy. (C. d. n.)

I znowu nasunęła mi się ta sama myśl: Czy ludzie młodzi (ci starsi też) nie znają już innych zabaw? Przecież nikomu nie zabrania się tańczyć. Ale czy już koniecznie trzeba tańczyć zawsze i wszędzie: w mieście i lesie, w pościągę i na okręcie, w powietrzu i pod ziemią — wszędzie, gdzie tylko jest kilka metrów równej przestrzeni i dwie pary nóg ludzkich? A może to znowu taka modna choroba, taki bakcyl, który trzeba leczyć zastrzykiem lub porządnym podatkiem.

W przerwie między tańcami zaigrano wiązanekę melodji polskich: o ułanie i dziewczynie, o malinach i rozmarynie, o miesiącu, co zaszedł za borem, o gwiazdeczce, co błyszczała... Odrazu uczyniło mi się na duszy ciepło i miło i czuleś, że te pieśni dziwnie się zgadzają z lasem i kukulką i całą przyrodą dookoła.

Albowiem można szanować obce narody i mowy i pieśni, ale tak z głębi serca kochać i odczuwać można tylko to, co własne i rodzime. Dlatego też, Duch Święty w dzień Zielonych Świątek nie pomieszał narodów między sobą, lecz każdy naród wraz z mową jego i pieśnią z osobna uznał i pobłogosławił.

Oby łaska Ducha Św. zstąpiła na pokłócone narody europejskie i na przeróżne stronnictwa i partje rodzinne, ucząc ich sprawiedliwości, miłości i zgody. Oto życzenia świąteczne

wuja z Baranowa.

Wszechświatowa wystawa prasy katolickiej w Watykanie (Dok. ze str. 353)

Polska

Poprzez gustownie urządzonej sale Czechosłowacji wkraczamy do naszej kochanej Polski. Wielki napis głosi, że to kraj, który szczyty się przydomkiem „przedmurza chrześcijaństwa”. Srebrny orzeł rozpiął swe skrzydła, by bronić starych naszych szlacheckich i katolickich tradycji; stoi na straży Polski i duma i śni sobie o naszych chmurnych i górnych dziejach, które artysta p. prof. Rozen po mistrzowsku streścił w przepięknym obrazie. Pokazał nam w dwóch grupach osób przedstawicieli dwóch światów: duchownego i rycerskiego. Ze wzruszeniem oglądamy na przestrzeni dziejów prawie chronologicznie umieszczone wielkie dusze i serca szerokie. Więc największy poeta niepodległej Polski — Jan Kochanowski, zadumany nad księgą, więc św. Józef, męczennik za wiarę i unję, więc uczciwy młodzieniaszek św. Stanisław Kostka — a dalej Sobieski król, i wódz Piłsudski i bohaterski ks. Skorupka. W ostatnim skurczu przedśmiertnym siania się na ziemię, ale krzyż wysoko dzierży w dłoni. Oto symbol zwycięstwa!

Przyglądamy się bliżej zbiorom. Z wielkich zestawień wrytych na ścianie dowiadujemy się, że jednorazowy nakład wszystkich pism katolickich i stojących na gruncie katolickim w Polsce sięga pięknej liczby 5 milionów egz. Wchodzą w to dzienniki, pisma diecezjalne, tygodniki, miesięczniki, czasopisma naukowe, religijne, młodzież, ogólnie. Nakład pism zależnych od episkopatu przedstawia się następująco: codziennych 200 tys., czasopism 2 milj. 400 tys. Wydawnictwa stojące na gruncie katolickim liczą 800 tys. codzienne, a periodyczne 600 tys. Wśród wielu dzienników porozmieszczanych w gablotkach wzdłuż ścian skromną i pokorną swą szatą zewnętrzną, ale potężny rozmachem i nakładem (140.000) zwraca uwagę Mały Dziennik, benjaminek naszych dzienników. W innych przedziałkach zgrupowano rozliczne pisma diecezjalne, które wcale godnie się przedstawiają.

Przewodnik Katolicki

Osobne i honorowe miejsce zajmuje nasz Przew. Kat. w otoczeniu innych wydawnictw Księgarni i Drukarni św. Wojciecha. (Tęcza, Młody Technik).

Z życia katolickiego

(Dokończenie z str. 357).

pracowałem zaledwie kilka tygodni i stało się nieszczęście. Wskutek przykrego nieporozumienia zostałem sromotnie pozbawiony pracy.

Kilkakrotnie przepraszany, nadmaje pan K. T. nie dał się przekonać. Był bezwzględny. I aczkolwiek wówczas liczyłem 22 lata, byłem żywicielem starej matki i siostry. Pozostaliśmy bez wyjścia. Ogarnęła nas ostatnia rozpacz.

Mimo silnego wówczas mrozu wyruszyłem z domu na poszukiwanie pracy. Złe myśli zaczęły mnie opanowywać. Błądziłem po mieście długi czas, aż wreszcie znalazłem się obok kościoła Wniebowzięcia N. M. P.

Gruba księga oprawnych Przewodników przyciąga swoim pięknym wyglądem nawet cudzoziemskich widzów, którzy chętnie przerzucają jej karty, oglądając barwne ilustracje. Wyraźnie okazują, że im się podoba. Pomysłowo wykonana mapka, na której białe niteczki łączą Poznań ze wszystkimi poważniejszymi miejscowościami obydwu półkul, wskazuje na nieprawdopodobny wprost zasięg Przewodnika. Gdzie też to nie czytają Przewodnika? I w Azji i Afryce i Ameryce, nie mówiąc już o Europie i Polsce. Ale też nakład jego przekracza cyfrę 200 tys. Po prawej stronie Przewodnika, XX. Jezuiti rozmieścili swoje wyborowe i śliczne wydawnictwa, po lewej Nacz. Instytut Akcji Kat. Wartościowe jednakże książki z serii wydawanej przez Akcję Kat. należałoby — zdaje się — bardziej uwidocznic, bo naprawdę zasługują na to. Jeszcze jedna uwaga. Nie spotkaliśmy na wystawie kolekcji naszych i tak już nielicznych wydawnictw ściśle naukowych lub teologicznych jak np. Studia Gnesnensia, albo prace kat. fakultetu Uniwers. J. Piłsudskiego w Warszawie. A przecież inne kraje jak Włochy, Kanada, Francja oraz Zakony mocno reklamują tego rodzaju publikacje.

Streszczając wszystko trzeba powiedzieć, że Polska zajmuje godne stanowisko i w zespole państw katolickich odgrywa ważną rolę.

Czy zobaczymy wszystko?

Pozostaje nam jeszcze dużo do zobaczenia. Trzebaby długich godzin, by choć pobieżnie zaznajomić się z wynikami i stanem prasy w poszczególnych państwach. Przechodzimy więc tylko i rzucamy okiem na ładną salę Węgier, na wspólną salę Grecji, Albanji, Rumunii, na — Finlandji, Łotwy, Estonji wreszcie Litwy. Dalej idzie dzielna Irlandja i wielka Anglja. A potem kraje i państwa Ameryki połud. i półn. Wreszcie Misje Azji, Afryki, Danji. Wkońcu wydawnictwa zakonów: Benedyktynów, Salezjanów, Dominikanów, Jezuitów, Franciszkanów, Karmelitów i wielu, wielu innych.

Rozważanie

Wychodzimy, bo czas nagli, ale przyrzekamy sobie tu wrócić i nacieszyć serca widokiem tych wielkich dzieł, których dokonywa się codziennie zapo-

przy ul. Zgierskiej. Wstąpiłem na chwilę. Żywej duszy w kościele nie było. Podszedłem bliżej ołtarza i spojrzałem na figurę św. Franciszka z Asyżu. Zdawało mi się, że święty patrzy na mnie, uśmiecha się i jakgdyby chciał powiedzieć: „Proś a otrzymasz”.

Prąd przeszył moje serce. Wybuchnąłem spazmatycznym płaczem i zacząłem gorąco modlić się do św. Jałmużnika, który nie miał, a dużo rozdawał. Długi czas modliłem się i rzewnymi łzami prosiłem świętego o wstawiennictwo do Boga.

Wreszcie nadszedł kościelny, który brzękiem kluczy przeszkodził mi w modlitwie. Musiałem opuścić kościół. Wyszedłem z kościoła i znów błądziłem parę godzin po mieście.

mocą prasy. Bo czyż można bez szczerzego i głębokiego wzruszenia myśleć o tych tysiącach i dziesiątkach tysięcy egzemplarzy pism najróżnorodniejszych, które codziennie opuszczają drukarnie i idą w świat daleki, niosąc wszędzie słowa otuchy, pociechy, nauki i pokrzepienia? Czyż nie jest zastanawiający ten dziwny fakt, że tyle mądrych i uczonych głów poświęca swą wiedzę, doświadczenie i talent służbie prawdy objawionej? A i sami wydawcy, pisarze i redaktorzy dużo mogą się nauczyć od swych kolegów zagranicznych. Takie skupienie sił i rachunek sumienia katolickiego przyda się zawsze, a szczególnie w burzliwych czasach dzisiejszych.

Słowo Ojca św.

Wielka jest siła prasy katolickiej w świecie, wielkie jej znaczenie, ale jeszcze większe stają przed nią zadania i cele. Trzeba przywdziać zbroję prawdy, by skutecznie móc zwalczać wroga. A wroga tego wskazał sam Ojciec św. w swem mocnym i głębokim przemówieniu przy otwarciu wystawy. Wskazał na rysujący się gmach społeczności ludzkiej, trzeszczący w swych spojeniach pod naporem wrażliwych sił wojującego komunizmu. Z tej strony grozi światu całemu, a szczególnie Europie, wielkie niebezpieczeństwo. Nietylko jako głowa Kościoła, ale również jako syn XX wieku pragnie Ojciec św. zwrócić uwagę świata całego na tę podziemną i wywrotową działalność związków komunistycznych. Rewolucje i krwawe utarczki, jakich jesteśmy częstymi świadkami, ujawniają aż nadto wyraźnie ukrytego wroga społeczności ludzkiej.

Modlitwa

Zakończył papież swe rozrzucające przemówienie modlitwą do Chrystusa Pana:

„Panie, zostań z nami, bo się ma ku wieczorowi. Ciemne i złowrogie chmury kłębią się na horyzoncie, zmrok zapada, wisząca w powietrzu burza zapowiada straszne rozpętanie żywiołów w czas nocnej ciemnicy. Zostań z nami, Panie!”

Nic bardziej przejmującego, jak te słowa. Nigdy też prasa, owa „arma veritatis” szczerze katolicka, uświadamiająca i utrwalająca religijnie ludzkość, nie była tak potrzebna jak właśnie dzisiaj.

Tomasz Dzierżykraj.

Przyszedłem do domu zziębnięty, głodny i strwożony o naszą przyszłość. Lecz stała się rzecz dziwna. Wracam do domu i widzę matkę uśmiechniętą, siostrę zadowoloną, a na stole kartkę z napisem: „W. P. Jan P... w miejscu. Proszę o natychmiastowe zgłoszenie się do pracy. Łódzka fabryka M... H. W...., Kilińskiego nr. — podpisano Józef G...”

Znów zapłakałem, ale tym razem z radości, że Stwórca łaskę okazuje nawet ludziom grzesznym. Zdziwiłem się bardzo tem, że fabrykant, który uchodził za człowieka twardego, wzywa mnie do pracy. Podniesiony na duchu, ruszyłem nazajutrz do zajęcia, spokojny o kawałek chleba.

J. Perz...

Z TYGODNIA: Najważniejsza sprawa w Europie

Siła, ład, praca

Nowy premier gen. Sławoj Składkowski, dotychczasowy wiceminister spraw wojskowych, ma sprząć silniej obóz piłsudczyków, zabezpieczyć i utwierdzić ład w kraju i w urzędach. Ład jest dziś tem bardziej konieczny, że rząd przystąpi do wzmocnienia obronności kraju. Premier Składkowski nie jest ani prawniczcem, ani lewicowcem (choć za młodu należał do P. P. S.), lecz czystej wody piłsudczykiem (z I brygady) i dobrym administratorem. Jako lekarz położył zasługi około podniesienia czystości miast i miasteczek, kiedy przed kilku laty był ministrem spraw wewnętrznych. To też nie dziw, że w obawie nagłego przyjazdu gen. Składkowskiego na prowincję, zażydzone miasteczka pod Warszawą wzięły się skwapliwie do wielkiego sprzątnia. Uważany jest za „męża zaufania“ gen. Rydza-Śmigłego. Generał ten po raz pierwszy uczestniczył w naradzie nowego rządu i w 20-minutowym przemówieniu nakreślił program rządu: skupienie sił, spokój, walka z bezrobociem.

Z tego, że min. Beck zostaje, wnoszą, iż polityka zagraniczna Polski nie zmieni się. Polityka gospodarcza również pozostanie bez zmiany: wartość złotego nie będzie obniżona. Dozór nad handlem jest nato właśnie wprowadzony, aby się złoty nie załamał. Nowy prezes Banku Polskiego Byrka jest przeciwnikiem dewaluacji (zniżki złotego) i inflacji (drukowania w wielkich ilościach złotych papierowych).

Markotni, zadowoleni, niespokojni

Z nowego rządu niezadowoleni są socjaliści, dla których powołanie gen. Składkowskiego było „niespodzianką“. Sądzieli oni, że „ich człowiek“ obejmie tekę ministra pracy, ale się omylili. Ministrem pracy został były premier Kościalkowski. Niezadowoleni są także zwolennicy wielkich robót publicznych i wywłaszczenia ziemian, zwani „naprawiaczami“. Zadowoleni są natomiast „pułkownicy“ (boczą się jednak dalej na ministra Kwiatkowskiego) i zachowawcy, gdyż nowy rząd jest jakby mniej lewicowy od poprzedniego. Narodowcy są zlekka zaniepokojeni; obawiają się walki rządu „z nacjonalizmem“. Ludowcy nie mogą liczyć na rychły powrót Witosa, bo nowy minister sprawiedliwości Grabowski był właśnie oskarżycielem w procesie centrolewu.

Najważniejsza sprawa w Europie

to sprawa Austrii. Dziwnie to brzmi, że los 7 milionowego kraju obchodzi wielkie mocarstwa, a nawet mniejsze państwa. Bo też Austrija jest każdemu niemal potrzebna: dla Ligi Narodów jest potrzebna jako

dłużniczka Ligi i jako państwo, utrzymujące pokój w Europie środkowej. Dla Włoch jest potrzebna jako zaporę od Niemiec. Dla Francji Austrija jest również potrzebna, ale dlatego, że z upadkiem Austrii mógłby nastąpić upadek Czechosłowacji, z którą Francja ma sojusz. Dla Anglii Austrija jest potrzebna nato, aby wpływy angielskie mogły się tam przeciwstawić wpływom włoskim. Dla Polski Austrija jest potrzebna jako duży rynek zbytu naszego węgla, jaj, nierogacizny. Dla Węgrów Austrija jest potrzebna jako jedyny życzliwy Węgrom sąsiad. Dla Watykanu Austrija jest potrzebna jako jedyny katolicki kraj niemiecki, gdzie Kościół cieszy się zupełną swobodą, a ministrowie są praktykującymi katolikami.

Dwa prądy

Ale Austrija, chociaż wszystkim jest potrzebna, a dla Niemiec nawet... pożądana — nie czuje się pewnie. Istniały doniedawna w rządzie austriackim dwa prądy: jeden katolicki i demokratyczny, drugi faszystowski. Przedstawicielem pierwszego prądu był Schuschnigg, kanclerz (czyli premier); na czele prądu faszystowskiego stał książę Starhemberg, wicekanclerz, wódz Heimwehry, czyli bojówki o zakroju faszystowskim. Schuschnigg usiłował ze wszystkimi sąsiadami być w zgodzie, a z Anglią i Francją mieć dobre stosunki. Starhemberg opierał się tylko na Włochach.

Po zwycięstwach włoskich w Abisynji książę wysłał depezę do Mussoliniego z okrzykiem „niech żyje faszyzm w całym świecie“ i naurgał demokracji.

Oburzyli się na to postawie francuski i angielski w Wiedniu. Wówczas Schuschnigg zmusił Starhemberga do opuszczenia rządu. Książę polecił do Mussoliniego ze skargą, lecz podobno nic nie wskórał.

Zwycięstwo katolicyzmu i demokracji

Ale tymczasem Schuschnigg objął teki obrony narodowej i spraw zagranicznych, a do rządu powołał wybitnych działaczy chrześcijańsko-społecznych. „Heimwehrę“ zaś poddał t. zw. „frontowi ojczystemu“. Ten „front“ jest najszerzą w Austrii organizacją polityczną, zastępującą dawne stronnictwa. Do „frontu“ wstąpić mogą nawet byli socjaliści. Na czele „frontu“ po usunięciu Starhemberga stanął teraz Schuschnigg. Słowem, w obliczu niebezpieczeństwa niemieckiego Schuschnigg nie tylko rozbudowuje armię, ale skupia naród, pragnący utrzymać niezależność Austrii.

Anglia nie wie, co zrobić z Abisynją

Pierwszy minister angielski Baldwin powiedział, że konieczna jest naprawa Ligi Narodów, gdyż dotychczas Liga działała wolno i bezskutecznie. Anglia ma dwa główne cele: 2) bezpieczeństwo swego państwa wraz z kolonjami, 2) pokój światowy i europejski. Baldwin nie zarzekł się zgóry, iż nie uzna przyłączenia Abisynji do Włoch. Uznanie to będzie zależało od stanowiska Francji, gdzie ster władzy ma objąć socjalista Blum.



Komunja Wielkanocna chorych w Rzymie.

Zaraz po Świętach Wielkanocnych, wszystkie parafje Rzymu, wierne starej tradycji, urządzają Komunję św. dla swych chorych. Długimi, barwnymi korowodami idą procesje przez ulice i zaułki Romy. Sznurowi zakonników i księży, bractwa dorosłych i dzieci — prowadzą wśród świątał, proporce i śpiewów — Pana nad pany, utajonego pod postacią Chleba.

Z udekorowanych okien domów rzucają ludzie pod stopy Najwyższego najcudniejsze dary primavery — wiązanki bzu, róż i liljowych przesłicznych glicynij. Raz po raz procesja zatrzymuje się, Zmartwychwstały Chrystus wchodzi do nieszczęśliwych, by dać im Upominek, jakiego anieli nawet nie otrzymują, by dać im Samego Siebie.

Tak wśród bicia serc i dzwonów, w blaskach i kwiatach precudnej wiosny Południa chodzi Chrystus po Rzymie i pociesza Pociechą Najwyższą — Swych biednych chorych.

Janina Welke-Siwkowska.

Intencje Apostolstwa Modlitwy

na miesiąc czerwiec

Ogólna: Abyśmy naśladowali gorliwość Najświętszego Serca Jezusa o zbawienie dusz.

Misyjna: Za duchowieństwo indochińskie.

Rekolekcje dla kapłanów w domu rekolekcyjnym OO. Jezuitów w Dziedzicach odbędą się w następujących terminach: w lipcu: 6—10 i 20—24; w sierpniu: 3—7 i 24—30.

W Pobiedziskach może się osiedlić dobry zdun. Na miejscu jest tylko jeden Niemiec, obecnie ciężko chory. Również osiedlić się tutaj może kupiec z branży

skór (jest na miejscu tylko Niemiec siodlarz, który ubocznie sprzedaje skóry).

KONTYNGENT WIZ DO BRAZYLJI. Władze brazylijskie zawiadomiły Syndykat Emigracyjny w Warszawie, ul. króla Alberta nr. 7, o ustalonej cyfrze wiz do końca 1936 roku. Jeżeli chodzi o rolników, ustalona została dla nich liczba 1373 osób, dla nierolników wynosi 152 osoby. Dzieci poniżej lat 14 nie są zaliczone do tych liczb.

Dowódca, Korpus Oficerski i Podoficerski 29 Pułku Strzelców Kaniowskich zapraszają na uroczystość odsłonięcia pomnika poległych (30. i 31. V.) w Kaliszu 1) rodziny żołnierzy pułku, poległych w czasie wojny w latach 1918 do 1921; 2) oficerów i podoficerów 1918—21.

Odpowiedzi Redakcji

Łoś. Odpowiedź nadejdzie z Akcji Katolickiej.

Odpowiedzi udzielać będziemy tylko tym, którzy nadesłają znaczek pocztowy.

Do naszych abonentów pocztowych!

W czasie do 10. VI. b. r.

przyjmują listowi zlecenia na abonament pocztowy na miesiąc czerwiec.

Prosimy zgłosić się odwrotnie do listonosza, który za kwitmem pocztowym zainkasuje prenumeratę złotych 0,80 na miesiąc.

Pod opaską z Administracji miesięcznie również 0,80 zł, kwartalnie 2,40 zł.

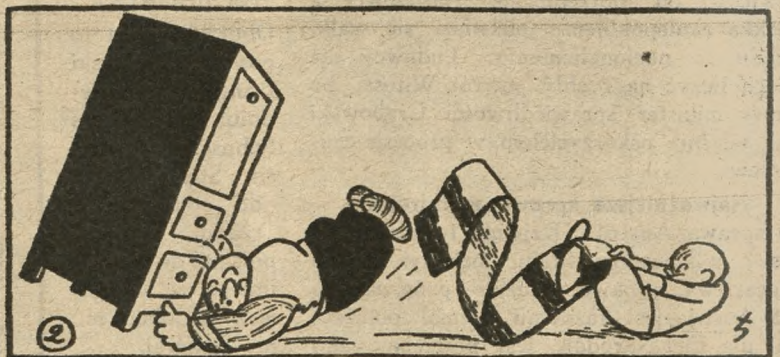
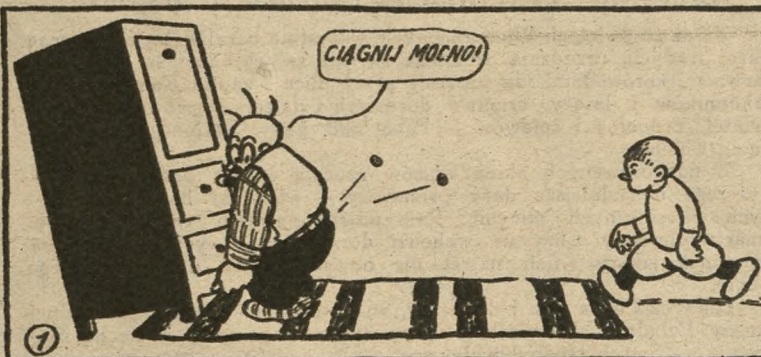
Adoracje N. S.

31. Lubez. 1. Niestronno. 2. Pałędzie kośc. i Mościewo. 3. Rogowo i Laski. 4. Ryszewko i Grębanin. 5. Świętkowo i Chłudowo. 6. Zerniki i Kiszewo.



3. Osobliwość Wyp Azorskich są kozie... dorożki. (Presse-Photo). — 4. W zastawione sieci naszych nadmorskich rybaków wpadają często gromada — zamiast cennych gatunków ryb — żarłoczne delfiny. — 5. Negus w otoczeniu synów i policji na ulicach Haiffy. Na przedzie bieży piesek, z którym się negus nigdy nie rozstaje. (III.)

1. Ostatnio w Madrycie podpalili z bolszewiczają tłum jeden z kościołów na przedmieściu. Bronił go doostatka dzielnie bohaterki kościelny. Wkońcu jednak uległ przewadze a policja musiała go wprost wyrwać z rąk rozbestwionego tłumy. (III.) — 2. W Rzymie, na terenie Watykanu otwarł Ojciec św. w otoczeniu wysokich dostojników, światową wystawę prasy katolickiej. Mimo podeszłego wieku — Ojciec św. — jak widzimy na obrazku — wygląda zdrowo i czerstwo. (G. Felici — Roma).



Czasem wbrew rachubom — i pomoc jest zgubą.

Szałę trzymam. Ty, Jasiu, chodnik ujmij w dłoń i ciągnij mocno ku swojej stronie.

Nieszczęsna to godzina. Potłukłem się srodze. Nazbyt gwałtownie szarpnął. Leżę na podłodze.

„PRZEWODNIK KATOLICKI” ILUSTROWANY TYGODNIK DLA RODZIN KATOLICKICH

z bezpłatnym dodatkiem dla dzieci „MĄŁY PRZEWODNIK” oraz z osobnymi działami „ROLA I OGROD” i „SPRAWY KOBIECE”.

Przedpłata kwartalna wynosić będzie z dniem 1. I. 1936 za egzemplarze osobniczo odbierane w ekspedycji naszego pisma i agencjach poznańskich 1.70 zł. Za egz. wysyłane wprost z Administracji w opasce pod adresem imiennym, w ilościach od 1 do 9 egz. po 2.40 zł, od 10 do 59 egz. po 2.20 zł, od 60 egz. wzwyż po 1.90 zł za egz. — Dla abonentów pocztowych (bez opaski) przedpłata kwartalna wynosi tak jak dotąd 2.34 zł, miesięczna 78 groszy, dwumiesięczna 1.56 zł łącznie z kosztami manipulacyjnymi.

Pocztowe konto czekowe: Poznań P. K. O. nr. 206 004 „Przewodnik Katolicki”.

W sprawach dotyczących rękopisów i w sprawach redakcyjnych prosimy zwracać się wyłącznie do Redakcji, w sprawach odnoszących się do przedpłaty, ekspedycji, pokrycia należności oraz ogłoszeń — wyłącznie do Administracji „Przewodnika Katolickiego” w Poznaniu, Al. Marcinkowskiego 22, nie zaś pod osobistym adresem X. Redaktora.

Redaktor odpowiedzialny: X. Franciszek Forecki w Poznaniu. — Za reklamy odpowiedzialny: Ignacy Domański w Poznaniu.

W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeskód w zakładzie, strażków i t. p. wydawnictwo nie odpowiada za regularne dostarczanie pisma i abonentci nie mają prawa domagać się niedostarczonych numerów lub odszkodowania. Nakładem i czcionkami Drukarz i Księgarni św. Wojciecha Sp. z o. o. w Poznaniu — na papierze z własnej fabryki papieru „Malta”.

Telefony 26 78, 22 41, 36 13, 36 14, 31 27.